TATERNIK

ORGAN SEKCJI TURYSTYCZNEJ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

ROK 1915—1921

REDAKTOR: DR. MIECZYSŁAW ŚWIERZ





KRAKÓW 1921
NAKŁADEM SEKCJI TURYSTYCZNEJ
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

Pamięci

Marjana Smoluchowskiego

profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, przewodniczącego Sekcji Turystycznej Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, człowieka wiedzy, woli i serca

rocznik niniejszy poświęca

Sekcja Turystyczna.



DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE



Marjan Smoluchowski.

Lutosławski nauczył nas rozróżniać dwa typy działaczy: społeczników i filaretów. Pierwsi pracują nad masami, drudzy nad sobą samym; ci pragną ogarnąć jaknajszersze obszary, tamci wniknąć jaknajgłębiej. Smoluchowski jako uczony i jako taternik był filaretą w najczystszem tego słowa znaczeniu. Dlatego mało był znany szerszemu ogółowi i nie wywarł w dobie powstawania współczesnego taternictwa naszego takiego wpływu, jakiby przy swem wielkiem doświadczeniu i znajomości zachodniej techniki alpejskiej wywrzeć był mógł. Przeciwnie, to taternictwo nasze, z chwilą gdy stanęło na wyżynie zachodu, odszukało Smoluchowskiego, by mu w swem gronie należne miejsce oddać. Jest to bowiem przywilejem tego typu ludzi w społeczeństwach kulturalnych, że nie szukają lecz są poszukiwani.

Marjan Smoluchowski wychował się we Wiedniu. Jako alpinista należał wraz z bratem Tadeuszem do Akademickiej Sekcji D. Oe. A. V., w którem to środowisku szukał potrzebnej podniety i towarzyszy wycieczkowych w latach 1891—4. Były to czasy płodne i wspaniałe: brzmiały jeszcze echa wielkich wypraw Zsigmondy'ego i Purtschellera, alpinizm nowoczesny wstępował w okres swego męskiego rozwoju pod hasłem »bez przewodnika«. Z drugiej strony jako reakcja wobec mnożących się katastrof górskich występuje, szczególnie silnie we wspomnianem środowisku wiedeńskiem, »legitymizm« — dążność do jaknajdalszego posunięcia sprawności technicznej i nie przedsiębrania niczego, coby granice pewności przekraczało i zdawało losy alpinisty na łaskę przypadku. Takim to, krzyżującym się by dojść do syntezy, wpływom podlega Smoluchowski, któremu siły fizyczne, wyrobienie w licznych gałęziach ćwiczeń fizycznych, zręczność i odwaga, a z drugiej strony i przytomność umysłu, spokój i przezorność, rokowały świetną przyszłość alpinistyczną. W czasie tym zwiedza całe Alpy Wschodnie, robiąc przytem szereg pierwszych przejść w Dolomitach.

Wkrótce nie wystarczają mu wycieczki skaliste. Klasyczna droga rozwoju wiedzie Go — w 1894 r. — w poszukiwaniu wspanialszych przygód i pełniejszych przeżyć na szczyty i lodowce Alp Szwajcarskich. Tu jednak zaczyna się zwykła tragedja taternika: w miarę jak z latami przybywa siły, doświadczenia i środków materjalnych, równocześnie rosną obowiązki rodzinne, społeczne czy inne. Wyrastają inne cele i inne problemy opanowują myśli i pragnienia. Smoluchowski był uczonym wielkiej miary. Prace naukowe odrywają go od gór — duchowo i cieleśnie — więżą w dolinach, w kamiennych pustyniach wielkich miast, gdzie w dymie kominów fabrycznych i hałasie życia gorączkowego tworzy się współczesna cywilizacja. Odtąd tylko co lat kilka spędza parę tygodni wakacyjnych w górach wysokich — w r. 1901 w Dolomitach, w 1904 w Karyntji, w 1909 w Alpach Berneńskich, w 1910 i 1911 w Tatrach*). Nie wygasa w Nim jednak tęsknota alpinisty; gdy jest zdala od gór wysokich, zwiedza małe — Szkocję podczas studjów w Glasgowie, w czasach lwowskich Karpaty zimowe na nartach, a w lecie 1917 Ojców, skąd przynosi śmiertelną chorobę.

Jako taternik przedstawiał typ wspaniały, wytworny i zrównoważony. Lubił przejścia trudne — nowe; wyprawy wielkie — odkrywcze. Wystarczyłoby to może niejednemu z naszych taksatorów, by zaliczyć Go do typu gimnastyczno-współzawodniczego. A jednak jak fałszywe byłoby to określenie w odniesieniu do Smoluchowskiego, który wrażliwy niezwykle na wszelkie przejawy piękna w sztuce i w nauce, odczuwał jak nikt inny piękno przyrody górskiej, który w czasach, gdy nie wszedł jeszcze w użycie aparat fotograficzny do łatwego »uwieczniania« wszystkiego bez wyboru, nosił we worku szkicownik i szkatułkę z farbami.

Jako towarzysz był Smoluchowski ideałem. Pewny, spokojny, wyrozumiały, nie narzucał zdania nikomu, zdając się mówić: ja robię tak, a ty rób jak chcesz, byle dobrze. Mimo wrodzoną niechęć do publicznej działalności nie uchylał się od obowiązków i poświęcał Swój czas bezcenny, gdy tego od Niego żądano. Wierny członek Sekcji naszej od r. 1908, był w r. 1911 jej prezesem.

Los zabrał Go w pełni sił i pracy twórczej, 5 września 1917 r., w noc narodową najczarniejszą, kiedy raz za razem spadały na nas ciosy przeznaczenia, a ziemię polską zalewały fale nowego potopu. Poświęćmy wspomnienie i żal serdeczny Towarzyszowi, któremu nie danem było wejść z nami do Ziemi Obiecanej, choć był tego najgodniejszy.

Z. Klemensiewicz.

---

*) Nie będę kreślić tutaj szczegółowo turystycznego życia Smoluchowskiego, gdyż temat ten został wyczerpująco i z wielką starannością opracowany we wspomnieniu, poświęconem Zmarłemu przez W. Goetla (Pam. Tow. Tatrz. 1917/18).

Wycieczki górskie w Szkocji*).

... Korzystając z pogody udałem się na dworzec w Glasgowie i nabyłem bilet do miejscowości Balloch na południowem wybrzeżu jeziora Loch Lomond. Jazda koleją nie była zbyt ciekawą: poza widokiem na rzekę Clyde oraz na zamek Dumbarton, malowniczo na wystającej buli skalnej położony, nie widziało się nic szczególnie interesującego. Tem większe nadspodziewanie wrażenie ogarnęło mię, gdy, po przybyciu do Balloch, znalazłem się na pokładzie parowca, właśnie do odjazdu gotowego.

Już sam — pełen zachwytu — opis z przewodnika książkowego podsycił moje nadzieje; to jednak, co ujrzałem, kiedy parowiec począł pruć stalowo-błękitne fale jeziora — ta piękność krajobrazu przeszła moje najśmielsze oczekiwanie. Południowa część jeziora, dość szeroka, posiada brzegi płaskie i niskie, okryte pięknemi, o soczystej i bujnej zieleni lasami. Ku północy jezioro zwęża się, z obu stron dźwigają się strome, wyniosłe góry, ponad któremi panuje przedewszystkiem szczyt Ben Lomond; między niemi lśni się srebrzysta tafla jeziora... znikająca hen w dali poza wrzynającym się głęboko w toń filarem skalnym. Najbardziej uroczo wyglądały małe wysepki, w pobliżu których przejeżdżaliśmy. Tu wystawały z wód łyse, zczerniałe rafy skaliste, tam kilka, wichrem zgiętych sosen chwiało się na szczycie skały, ówdzie znowu ukazywała się wysepka, pokryta bujną roślinnością, której nieprzebyta gęstwa drzew liściastych i szpilkowych, krzewów i paproci o wielkości człowieka, nosiła dziki, romantyczny charakter lasów dziewiczych.

Niestety nazbyt krótko trwała ta piękna, pełna urozmaicenia jazda. Niebawem przybyliśmy do miejsca mego przeznaczenia Balmaha, skąd po dwugodzinnej rozkosznej przechadzce wzdłuż jeziora dotarłem do zajazdu Rowardenan, w którym przepędzić miałem noc, by nazajutrz wyruszyć na Ben Lomond, najwyższą w całej okolicy górę.

Nocą lunął potężny deszcz, na szczęście jednak rano znowu zabłysło słońce. Ruszyłem tedy w drogę ku Ben Lomond, w towarzystwie jakiegoś młodego Anglika, wielce uradowanego, że znalazł wspólnika wyprawy. Paliło mię niezwykłe pragnienie poznania tych nowych dla mnie terenów, wglądnięcia wreszcie w głąb górskiego świata Szkocji. Już poprzedniego dnia zaobserwowałem dziwne, niezwykłe zabarwienie stoków górskich. Las było widać tylko całkiem nisko w dolinie, na zboczach grzbietów natomiast nie spotykało się nietylko ani drzewa i krzewów, lecz nawet

---

*) We wrześniu 1896 r. odbył ś. p. Marjan Smoluchowski kilkutygodniową wycieczkę po górach i wyspach szkockich, z której wrażenia i spostrzeżenia ujął w odczycie, wygłoszonym dnia 3 marca 1899 r. w kole członków wiedeńskiej Sekcji Akademickiej Niem.-austrjackiego Tow. Alpejskiego. Z odczytu tego podajemy na tem miejscu, w polskim przekładzie, najciekawsze i najpiękniejsze fragmenty. *Przyp. Red.*

i kosodrzewiny. Nie mogły to być również ani łąki, ani pastwiska, te bowiem są zielone, owo zaś zabarwienie terenu posiadało odrębny żółtobrunatny odcień, przypominający mi raczej Apeniny koło Florencji, tak jak się przedstawiają po skwarnem lecie, które całą trawę wypaliło.

Teraz wreszcie wyjaśniła się zagadka! Były to trzęsawiska: gąbczasty, mokry teren, pokryty gęstem poszyciem wrzosów, paproci zmieszanych z brunatnem sitowiem. Zupełny tu brak tego, co my nazywamy trawą lub ziołami polnemi; prawdziwe łąki napotkać można jedynie w dolinach w pobliżu miejscowości i osad ludzkich. Owa wegetacja wrzosów i paproci pokrywa wszystkie okoliczne góry. Z czasem przekonałem się, że ona właśnie nadaje ów odrębny charakter całej szkockiej krainie górskiej. Jedynie we wschodniej części kraju znajdują się nieliczne lasy, reszta jest całkiem łysa.

Jedna z niemiłych właściwości owych trzęsawisk wkrótce dała się nam we znaki: obfita zawartość wody w terenie. Dotąd sądziłem naiwnie, że bagna i moczary znajdują się przeważnie na nizinach, obecnie na własnej skórze przekonywałem się o fałszywości powyższej teorji: miałem wrażenie, że chodzę po nasyconej wodą gąbce, a im wyżej, tem gorzej było. Swoją drogą w znacznej mierze przyczyniało się do tego i niebo, dziwnie kapryśne, co z trudną do wiary szybkością zsyłało nagle ulewny deszcz, to jasnem słońcem zalewało cały krajobraz, to znowu rzęsistą ulewą zraszało ziemię... i tak na przemian. Mój angielski towarzysz nauczył mię nowej taktyki turystycznej: posuwania się naprzód w podskokach. Skoro tylko deszcz poczynał lać strumieniami, otulaliśmy się naszemi płaszczami gumowemi, chroniąc się popod blok skalny lub poza fałd terenu, osłaniający nas przed wichrem. Zazwyczaj ulewa nie trwała dłużej, niż 5—10 minut, poczem mogliśmy spokojnie dalej wędrować. W ten sposób ubrania nasze pozostały względnie suche. Tuż przed samym wierzchołkiem przetrwaliśmy potężny grad; wreszcie, drżąc i szczękając zębami z zimna stanęliśmy na szczycie.

W tych warunkach nie można było tak rozkoszować się widokiem, jak tego pragnęliśmy. Na zawsze jednak pozostanie mi w pamięci obraz ciągnącego się w dole czarno-błękitnego jeziora Loch Lomond z jednej, a sielankowo położonego i lasami obrzeżonego jeziora Katrine z drugiej strony, oraz odsłaniającej się w dalach północy całej gmatwaniny ostrych, o kształtach przeróżnych, grani i szczytów.

Towarzysz mój powrócił tą samą drogą, samotny więc zacząłem schodzić w dół skalistą, pn.-zach. granią, gdzie — przy dobrych chęciach — nawet spaść można było, a potem poprzez nieskończenie rozmokłe, bagniste trzęsawiska ku jezioru...

. . . .

... O godzinie 6-tej rano odchodził parowiec, mający mię zawieźć do Fort William, miejscowości, skąd wyruszają wszystkie wyprawy na Ben Nevis, najwyższy szczyt całej Wielkiej Brytanji. Przebudzony zbyt późno,

z szalonym pospiechem wdziałem ubranie i, nie jedząc śniadania, popędziłem ku przystani, do której w ostatniej ledwie chwili zdążyłem.

Owego dnia sprzyjało nam całkiem wyjątkowe szczęście: nad nami wisiało lazurowe, bezchmurne niebo, lekki wietrzyk przybiegał od morza, a czyste, przeźrocze powietrze pozwalało na rozróżnienie najdrobniejszych szczegółów krainy gór, wznoszących się wysoko na północy, poza jeziorem Linnhe.

Lawirując między licznemi okrętami, stojącemi w zacisznej zatoce na kotwicy, przeciskaliśmy się zwolna ku wąskiej cieśninie obok wyspy Kerrera. Przejechaliśmy koło potężnej, wyniośle i stromo wznoszącej się skały, zwanej Słupem Psa (»Dog's Pillar«), do której ongiś król Fingal zwykł był swego psa przywiązywać. Potem minęliśmy piękne, całe bluszczem otulone ruiny zamku Dunoblic: niebawem zginęły nam całkiem z oczu miłe domki i wille miasteczka Oban i wpłynęliśmy poza wielki złom skalny, skąd już pełną parą okręt zdążał na północny-wschód...

Było około 10 godz. przedpoł., gdy przybyłem do Fort William. Nie zatrzymując się dłużej, zaraz puściłem się w drogę na Ben Nevis. Wejścia na Ben Nevis nie mogę zaliczyć do wielkich czynów alpinistycznych, a także całą drogę można pokrótce opisać: na sam szczyt prowadzi wygodna, utorowana droga konna, której trudność jest czysto przedmiotowej natury: trzeba bowiem zapłacić 1 szylinga za jej użycie!

Na szczycie znajduje się zagospodarowane schronisko, zwane szumnie hotelem »Ben Nevis«, a połączone z małem obserwatorjum meteorologicznem. Oparłem się pokusie wstąpienia do »hotelu« i poprzestałem na platonicznem rozkoszowaniu się wspaniałym widokiem z pokrytej śniegiem tarasy obserwatorjum.

Miałem zaiste poważny powód do radości. Należałem do tych wybrańców losu, którym dane było mieć z wierzchołka Ben Nevis czysty, rozległy widok, bo zresztą góra ta słynie z mgieł i chmur, w które jej szczyt jest zwykle spowity.

Widok jest istotnie wspaniały! Na południu, wschodzie i północy — daleki, rozległy kraj gór, plątanina szeroko ciągnących się łańcuchów, stromo wznoszących się stożków i czub, o delikatnem, typowem zabarwieniu zielonkawo-brązowem na pierwszym planie, a w oddali przesnutych delikatną mgłą; między niemi rozsiane całe mnóstwo ciemno-błękitnych, wydłużonych jezior wysokogórskich. Tuż obok, ku północy, głęboko werznięta, zielona dolina, przecięta wzdłuż kanałem Kaledońskim. W kierunku zachodnim widok całkiem odmienny: bezkreśne morze wgryzające się głęboko w ląd podobnemi do fiordów zatokami i odrywające od niego niezliczoną ilość wysepek...

Jeszcze raz rzuciłem okiem wokrąg, by sobie najdokładniej utrwalić w pamięci ten dziwny, melancholijny, a przytem tak wspaniały krajobraz i pędem prawie puściłem się z powrotem tą samą drogą ku Fort Wiliam.

. . . .

... Ufając kompasowi i mapie okolicy, którą przypadkowo miałem ze sobą, podczas gdy reszta pasażerów poszła ku jezioru Loch Cornish, zacząłem w ukośnym kierunku wdzierać się na zbocza leżącej naprzeciw góry. Oniemiały z podziwu stanąłem jak wryty, ujrzawszy nagle leżący u mych stóp kocioł wspomnianego jeziora. Jedynie z Morskiem Okiem i Czarnym Stawem w Tatrach mógłbym tę imponującą scenerję porównać. Ale ten widok był jeszcze wspanialszy!

Dziwny jest kontrast pomiędzy Loch Scavaig a Loch Cornish: pierwszy dzięki swej przejrzystej wodzie i jasnym falom, a również wskutek otwartego na szerokie morze widoku sprawia o wiele weselsze wrażenie, drugi, Loch Cornish, wygląda groźnie, posępnie i imponująco.

Z ponad jego czarno-błękitnych, cichych i gładkich jak zwierciadło toni wznoszą się ponuro masywy skalne, u góry przyprószone śniegiem i stapiające się z chmurami w jedną całość. Długo jeszcze byłbym stał w podziwie, gdyby mi nie dźwięczały w uszach przestrogi przed bagnistą doliną Sligachan; także i w przewodniku znajdowało się ostrzeżenie, by się tam nie dać ciemnościom zaskoczyć.

Począłem więc dalej wspinać się na graniczny grzbiet górski, a stamtąd znów ku dołowi w ciągnącą się daleko dolinę Glen Sligachan. Słuszność mieli ci, co mię przestrzegali. Zabłądzenie tam musi być fatalnem! Dzięki specjalnemu jakiemuś zmysłowi, czy jakby instynktownemu węchowi orjentacyjnemu, ani razu nie zeszedłem z drogi, której śladów często nawet rozróżnić nie można było, a mimo to nieraz byłem w wielkiej wątpliwości, czy naprawdę znajduję się na ścieżce, czy też może w łożyskn potoku albo w błotnistej kałuży — a kiedy wreszcie po wielogodzinnej wędrówce dotarłem szczęśliwie do gospody w Sligachan, byłem od góry przez rzęsisty deszcz do nitki przemoczony, od dołu zaś aż po pas obryzgany błotem i bagienną wodą.

Gospodarz dał mi ubranie do zmiany i wkrótce dobra, obfita wieczerza zgromadziła dokoła stołu — prócz mnie — także i innych gości, którzy tu, rzecz oczywista, inną, łatwiejszą drogą przybyli. Dowiedziałem się od nich, że w tym świecie górskim alpiniści mogą znaleźć całkiem interesujące zagadnienia do rozwiązania. Znany alpinista Freshfield dokonał tu kilku pierwszych wyjść, a w przedsionku hotelu wisiała nawet prawdziwa, całkiem przepisowa lina ratunkowa oraz taryfa przewodnicka. Co więcej, dowiedziałem się nawet, że przed paru laty jeden z turystów spadł ze szczytu Sgurr-na-Gillean i zabił się, co oczywiście znacznie powiększyło mój szacunek przed temi górami.

Wogóle ów Sgurr-na-Gillean wydawał się najbardziej interesującym wierzchołkiem. Nazywają go nawet »Szkockim Matterhornem«, pokazywano mi fotografję zębatej jego grani, której naprawdę niejeden ze szczytów w Dolomitach mógłby pozazdrościć. Odrazu postanowiłem wyspinać się nań, tylko że wierch przez cały dzień zakrywały chmury, nie mogłem przeto wyrobić sobie poglądu na sposoby wyjścia. Jakkolwiek

i nazajutrz było podobnie, nie dałem się łatwo zniechęcić: z kilku fotografij i wzmianek w mym przewodniku wywnioskowałem, że należy szczyt okrążyć od lewej strony, by dostać się na jego południową grań. Plan ten okazał się istotnie trafnym.

Poprzez trzęsawiska dotarłem do właściwego trzonu skalnego szczytu i trawersowałem w południowym kierunku aż do miejsca, gdzie gładkie płyty przechodzą w zadzierzysty teren, tak, że bez większego trudu wydostałem się na południową grań. Przekonałem się tutaj, sądząc z kilku kamiennych kopczyków i śladów podkutych butów, że jestem na właściwej drodze. Teraz nastąpiło miłe drapanie się wzdłuż grani, które napełniło mię prawdziwą rozkoszą, była to bowiem w owym roku pierwsza rzetelna wspinaczka. Trudności nie były zbyt wielkie — nie większe niż na zwykłej drodze na Feldkopf, ale i za to należała się losom wdzięczność.

Około 1-szej godziny stanąłem wreszcie na szczycie, skąd zapewne musiał się roztaczać wspaniały widok nietylko w dal, lecz i na najbliższe, imponujące otoczenie. Mówię »zapewne«, sam bowiem ujrzałem tylko nieco z owych przeczuwanych piękności, gdy na chwilę mgły się rozdarły i ukazały poprzez morze ląd stały. Inne wierzchołki i owa poszarpana grań, co mię tak zaciekawiała, pozostały zasłonięte...

Marjan Smoluchowski.

Jerzy Żuławski.

W szeregu ludzi, sercem i działalnością z Tatrami związanych, których los u progu Odrodzenia wydarł z pośród nas bez powrotu, do strat najboleśniejszych należał zgon śp. Jerzego Żuławskiego, ofiary tyfusu, w rozjazdach wojennych nabytego. Oto w zmarłym odszedł nietylko taternik w wyprawach skalnych nad wszystko rozmiłowany, majestatu gór wielbiciel głęboki, Sekcji Turystycznej przyjaciel szczery i serdeczny, ale i jeden z wielkich Polski współczesnej pisarzy i poetów twórca w dramacie, powieści, studjum krytycznem i filozoficznem wszechstronnie czynny, obywatel budowie ojczyzny bez zastrzeżeń oddany.

Wyniósłszy z zarania młodości zapał do włóczęg i przygód niezwykłych, Żuławski od pierwszego zetknięcia się z górami został ich gorącym wyznawcą i miłośnikiem. Do Alp, w oblicze olbrzymów berneńskiej wyżyny zawiodły go w r. 1893 studja uniwersyteckie, poznanie Tatr rozpoczął w r. 1895 przejściem Zawratowej przełęczy i odtąd coraz częściej do nich powracał, aż w r. 1910 u ich podnóża na stałe się osiedlił.

Urok złomisk tatrzańskich olśnił go swym czarem — jak tylu innych naszych poetów — dał temu pełen entuzjazmu wyraz w twórczości, ale naturze jego, bujnej i do czynu się prężącej, nie wystarczało bezoso-

biste zatapianie się w uciszających popędy woli nastrojach górskiego krajobrazu. I czego nie mogły mu dać same estetyczne przeżycia: zaspokojenia pędu psychy ludzkiej ku walce, zwycięstwu, łamaniu naporów zewnętrznych — to wyczuł i odnalazł w rytmie i dążnościach współczesnego taternictwa. Stał się tedy taternikiem i to taternikiem, śmiało rzec można, sportowcem (w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu), odbijającym w sposobie wycieczkowania wszystkie nowe metody chodzenia po górach: dążność do wdzierania się na najtrudniejsze szczyty i najprzepaścistsze turnie, porzucenie udeptanych perci, a zwrócenie się ku niedostępnym dotąd iglicom i nowym, zuchwalstwem przeprowadzenia uderzającym szlakom, rozwinięcie w wyprawach najpełniejszej samodzielności, systematyczność wreszcie i wszechstronność w poznawaniu gór.

W bogatym w taternickie czyny wykazie górskich wypraw Żuławskiego spotykamy dwa rodzaje wycieczek. Jedne »bez programu«, radosne, beztroskie włóczęgi dolinne, na najdłuższy pobyt wśród gór, w oderwaniu od codziennego życia, obliczone; drugie śmiałe zamierzenia taternickie, skierowane już to ku nastrzępionym technicznemi trudnościami przejściom skalnym (Żabi Koń, Smoczy Szczyt, Szarpane Turnie i t. d.) już to ku nowym, przez taterników niedostrzeżonym lub zapomnianym problemom (Ciemnosmreczyńska Turnia, Smocza Grań, zach. ściana Rysów, Złomiska Turnia itd.)

Wycieczki swoje odbywał Żuławski z reguły bez przewodnika, często samotnie, często w towarzystwie młodych sił taternickich, które w Tatry wprowadzał. W orjentacji wspomagała go znakomita — teoretyczna i praktyczna — znajomość Tatr, całej gmatwaniny ich wierchów, przesmyków i perci, w znoszeniu trudów i pokonywaniu niebezpieczeństw, obok siły fizycznej, ogromna wytrzymałość i zupełne opanowanie tak letniej jak i zimowej techniki taternickiej.

Sfera zainteresowań się taternictwem nie kończyła się u Żuławskiego na samem zatrudnianiu systemu mięśniowego w marszach i wspinaczkach górskich. »Taternictwo stało się dzisiaj poprostu wiedzą« powiada w jednym ze swych artykułów, a że wszechstronny umysł jego dążył wszędzie do rozumowego pojęcia i ujęcia zjawisk życiowych, więc i dziedzina zagadnień teoretycznych, z popędem człowieka do gór związanych, znalazła w nim doświadczonego i bystrego badacza. Pisywał w »Taterniku«, w tygodniku »Zakopane«, którego w r. 1911 był redaktorem i... głównym współpracownikiem, sięgał też do prasy codziennej, ilekroć potrzeby taternictwa tego wymagały. W szczególności leżało mu na sercu dobro Sekcji Turystycznej, w której Zarządzie zasiadał od r. 1910 i której powagi bronił zwycięsko przed przeciwnikami zarówno w świetnych artykułach jak i osobistych wystąpieniach.

Pamięć Jego nie zagaśnie wśród taterników!

Mieczysław Świerz.

Wojciech Tylka Suleja.

W r. 1916 rozeszła się w kołach taternickich wiadomość o śmierci przewodnika Wojciecha Tylki Sulei, który zdala od rodzinnych Tatr w zabójczym klimacie Albanji, gdzie pełnił służbę wojskową, uległ grasującej tam wówczas cholerze.

Był to jeden z coraz rzadszych już dziś przedstawicieli góralstwa dawnego pokroju; chociaż w chwili zgonu dopiero czterdzieści parę lat liczył, zdawał się należeć do owego nieskażonego jeszcze »kulturą« z dolin pokolenia, o którym z takim zachwytem pisali Chałubiński i Witkiewicz. Pogodnego usposobienia, niezrażający się najcięższemi trudami i przeciwnościami, prosty a ujmujący obejściem pełnem godności, obdarzony był nadto przedziwnym instynktem odgadywania w lot charakterów i usposobień ludzi, z którymi wypadło Mu odbywać wyprawy. Dzięki temu był nieocenionym towarzyszem dla taterników, najtroskliwszym opiekunem i szafarzem tajemnic świata skalnego dla przygodnie w Tatry zapędzających się turystów. Małomowny, umiał jednak, bliżej się z kimś zaznajomiwszy, opowiadać prześliczną, czystą gwarą podhalańską o wyprawach skalnych, myśliwskich, lub przytaczać jakieś stare podania. Imponującej postawy i olbrzymiej siły, zdawał się być w górach istotną częścią przyrody tatrzańskiej.

Zawód przewodnika rozpoczął nieco przed r. 1900. Towarzyszył nieraz jednemu z najwybitniejszych w owym czasie taterników Teodorowi Eichenwaldowi, z którym też odbył wielodniową, wspaniałą wyprawę graniami od Salatyńskiego po Cubrynę. Dał wtedy poznać swą umiejętność wspinania się, orjentowania, spokój i rozwagę. Po paroletniej przerwie, spędzonej w Ameryce na najcięższej pracy, powrócił do zawodu przewodnika i wraz z niezapomnianym Klimkiem Bachledą brał często udział w wyprawach Janusza Chmielowskiego (m. i. w r. 1906 w drugiem wyjściu na Żabiego Konia), który Go obok Klimka i Jędrzeja Marusarza słusznie zaliczał do najlepszych przewodników tatrzańskich.

W pamięci przyjaciół Sulei, którzy mieli sposobność odbywać z Nim wyprawy w najrzadziej zwiedzane, bezludne części Tatr, pozostaną z pewnością najgłębiej zalety Jego jako człowieka. Uwydatniały się też one w całej pełni na wyprawach Tatrzańskiego Pogotowia Ratunkowego, którego był niezmordowanym członkiem od chwili założenia.

Ubytek pierwszorzędnego przewodnika wywołał głęboką troskę u wszystkich, którzy rozumieją znaczenie wybitnych sił w tym zawodzie dla krzewienia się taternictwa; żal serdeczny pozostawił u tych, którzy Go znali i ocenić mogli.

Cześć Jego zacnej pamięci!

Dr. Stefan Komornicki.

Józef Lesiecki.

Są ludzie — jako fundamentów głaźne bryły.

Głęboko w ziem wgrzebane, gliną i żwirowiskiem przysute, uchodzą one ludzkim spojrzeniom, co dziwują się jeno wielkości i zdobnej strukturze wspartego na nich gmachu, przepominając, że nadewszystko z krzepkości i twardości fundamentowych złomów moc i trwałość całej nadbudowy idzie. Ludzie tacy bytują i mijają w cichości, ni z nazwania, ni z czynów ogółowi nieznani, a przecie oni to ów najżywotniejszy, zdrowy zrąb społeczności tworzą, o jego życiowych wartościach stanowią.

Jednym z tych ludzi był śp. Józef Lesiecki.

Przez okno pracowni — na gwarną ulicę zakopiańską wychodzące — tłumy może widziały »Lesika«, w pracy nad jakimś łyżnikiem czy czerpakiem góralskim pochylonego — ale któż z nich zwrócił uwagę na tego człowieka, któż wyczuł, jaką głębię serca i charakteru kryje w sobie ta cicha postać pracownika-rzeźbiarza?

Z pochodzenia niewiele od warstw ludowych oddalony, z zawodu rzeźbiarz, wychowaniec zakopiańskiej szkoły przemysłu drzewnego — z zamiłowań należał śp. Lesiecki do tych nielicznych, którym treścią i istotą życia są górne potrzeby intellektu i artystycznej wrażliwości. Popęd do wiedzy kazał mu swoje szczupłe wiadomości szkolne rozszerzać i pogłębiać ciągłem dokształcaniem, bezprzestanną, uporną i zapamiętałą pracą nad swym umysłem, umiłowanie piękna uczyniło go artystą, zbieraczem zabytków ludoznawczych i rozkochanym w wyprawach górskich taternikiem. Jako miłośnik sztuki ludowej, oddał cały swój zapał, czas i grosz — w trudzie uciułany — na zbieranie pamiątek góralszczyzny, wydobywanych nieraz w mozolnych poszukiwaniach z najbardziej zaopuszczonych, najkurniejszych chałup podhalańskich; jako taternik stał się postacią, której należy się w taternictwie miejsce odrębne i honorowe, mało bowiem było turystów, którzyby dążyli na górskie szlaki z taką »pasją«, tak z nieodpartej wewnętrznej konieczności, jak śp. Lesiecki.

Był wspinaczem pierwszorzędnym — świadczą o tem jego wspaniałe wyprawy skalne — był turystą zimowym jednym z najlepszych, przewędrował Tatry wskróś i wzdłuż, latem i zimą — ale aż do przesady, do zapoznania samego siebie posunięta skromność — wśród chełpliwości taternickiej tem dziwniej uderzająca — kazała mu milczeć o dokonanych wycieczkach i nieraz tylko z biedą udawało się wydobyć od niego jakąś wiadomość, jakiś cenny szczegół o jego tatrzańskich zdobyczach. Cichy, zmilkły wśród ludzi, swe wartości wewnętrzne objawiał w pracy, w szlachetnych zamierzeniach, w trudzie ofiarnym. Przez swoje wycieczki ludoznawcze stał się pomnożycielem zbiorów Muzeum im. T. Chałubińskiego, któremu z trudem wydarte skarby sztuki podhalańskiej bezinteresownie

ofiarował, przez swą czynną pomoc w pracach nad turystyką i narciarstwem przyczynił się wielce do przeprowadzenia i odnowienia szlaków taternickich i narciarskich, przez udział w wyprawach Tatrz. Och. Pogotowia Ratunkowego — które uważał za swój najszczytniejszy obowiązek — odratował niejedno życie ludzkie, niechybnie już — zdawało się — wydane górskim demonom na ofiarę.

I czyż dziwić może, że człowiek ten, w chwili rozpętania się zawiei dziejowej, oddał się w służbę idei walki o niepodległość ojczyzny na pierwszy zew, bez żadnych zwątpień, rachub i obliczeń »zdrowego« rozsądku? I że w dn. 25 grudnia 1914 r. w krwawej bitwie pod Łowczówkiem, schodząc ostatni z pola, legł od kuli moskiewskiej, czystość i wielkość swego życia znakiem krwi bohatera pieczętując?

Cześć Jego pamięci!

Mieczysław Świerz.

Ofiara Zamarłej Turni.

Dnia 25 września 1917 r. wstrząsnęła Zakopanem tragiczna wiadomość. Dwu znanych w kołach taternickich turystów, podczas wspinania się południową ścianą Zamarłej Turni uległo wypadkowi, który kosztował życie jednego z nich — Stanisława Bronikowskiego, a w którym drugi, Rafał Malczewski, ocalawszy cudem, przebył w nieruchomej pozycji 19 godzin nad przepaścią, uwiązawszy się resztką zerwanej liny do haka, zanim mu pomoc przynieść zdołano.

Wieść o wypadku rozeszla się po całej Polsce, wywołując u mnóstwa osób niesłuszne oburzenie na »bezmyślną spinaczkę« sport, niemający rzekomo »nic wspólnego z taternictwem«.

W dziennikach wywiązała się nawet polemika na ten temat. Wrogowie jednak owej »bezmyślnej spinaczki« zapomnieli widocznie o tem, że rok rocznie po kilka ofiar pochłania właśnie ów drugi, niewinny rodzaj taternictwa, o ile wogóle dyletanckie łażenie po górach nazwać można taternictwem. Katastrofa, o której mowa, jest w historji polskiej wspinaczki niemal jedyną, jaka spotkała rutynowanych i z techniką taternicką obznajomionych turystów. Pośrednią jej przyczyną było niewątpliwie chwilowe zdenerwowanie młodego i zbytnio może ambicjonującego turysty. Jak wiadomo z opisu naocznych świadków nieszczęścia, ubezpieczenie na haku, wbitym ongiś przez pierwszych zdobywców ponad »pierwszym trawersem« było zupełnie poprawne. Nierozważnem natomiast ze strony ś. p. Bronikowskiego było wspinanie się zbyt wysoko w pionowym kierunku nad miejscem ubezpieczenia. Odpadnięcie od skały którego bezpośrednią przyczyną mogło być zarówno ukruszenie się chwytu, jak wyczerpanie sił w rękach, nastąpiło z pod górnej przewieszki ok. 15 m. wyżej ponad miej-

scem ubezpieczenia. Upadek zatem na całą długość 30 m liny spowodował zerwanie lin na ostrej krawędzi skały a niewątpliwie i natychmiastową śmierć śp. Bronikowskiego, wskutek złamania kręgosłupa.

Ś. p. Stanisław Bronikowski, urodzony w Chołowie, w Księstwie Poznańskiem, z ojca Tadeusza i matki Julji ze Stablewskich liczył zaledwie 22 lat życia. Ojca nie pamiętał, a troskliwe wychowanie, otrzymane od matki, wpoiło weń ogromne, serdeczne i gorące ukochanie ojczystego kraju, cnoty obywatelskie i tężyznę. właściwą Polakom z b. zaboru pruskiego. Od lat dziecinnych często, a od czasu wojny — zmuszony warunkami — stale przebywając w Zakopanem i zapoznając się z Tatrami stał się fanatycznym ich miłośnikiem. W rozlicznych wędrówkach po górach, pod okiem wytrawnych turystów nabrał rutyny i niezwykłej techniki taternickiej, która pozwoliła mu na odbycie szeregu pierwszorzędnych przejść. Nigdy nie zamącona pogoda umysłu, dziecięcy humor wraz z poświęceniem koleżeńskiem i bezinteresownością w przyjaźni czyniło z Niego niezrównanego towarzysza, zyskującego sobie serca starszych i o wiele starszych taterników i narciarzy.

Tragiczny wypadek przeciął życie Jego młode, zapowiadające się pod każdym względem nieprzeciętnie. Śmierć Jego okryła żałobą nietylko rodzinę.

W imieniu taternictwa polskiego, którego ideały tak były bliskie sercu ś. p. Bronikowskiego, wyrażamy na tem miejscu cześć Jego czystej pamięci. *J. G. P.*

Niepowrotny dzień.

Zdarzyło się to w jeden słoneczny dzień sierpniowy 1911 roku:

Na zamarłych, głazami zasutych tarasach Doliny Złomisk w Tatrach rozbiła obozowisko gromadka turystów i jęła krzątać się około wybrednego, iście burżujskiego obiadu.

Było południe.

W porze tej prawdziwych taterników tylko we wirchach się spotyka, niktby więc nie przypuścił, że ma przed sobą nie »ceprów«, gawiedź wałęsającą się po dolinach, ale sam honorny sztab Sekcji Turystycznej Tow. Tatrz. Że np. ów mąż o spojrzeniu satyra, z lubym uśmieszkiem wdychający wonny opar zupy, ważonej z kostek Maggiego, to Jerzy Żuławski, skalnych wypraw towarzysz niezrównany, albo, że tamten, z namaszczeniem odkrywcy obrotu ciał niebieskich badający smak kompotu śliwkowego — to taternik nad taternikami — prof. Marjan Smoluchowski, że wreszcie ten wytworny wędrowiec, co, ległszy na puchach trawnika, z pańską obojętnością otulił się błękitnym dymem hawańskiego cygara — to Janusz Chmielowski, o którym powiedziano kiedyś, że objął po Chałubińskim berło turystyki w Zakopanem.

W siedmioro — nie brakło bowiem i towarzyszki, pn. J. R. — siedzieliśmy tam wysoko pod turniami, ludzie różni wiekiem, godnością i zasługą, lecz jedni wielkiem, serdecznem Tatr ukochaniem.

Nad nami dźwigała się, w głąb nieba wbita, cudnie w granitach kowana piramida Wysokiej. Owej Wysokiej, u której zrębów cichemi szlakami nocy błądząc — Asnyk uczuł się »jednem łańcucha ogniwem, rozciągniętego przez otchłań błękitu« i odnalazł »związek z całym ogromem stworzenia« i która pamiętała czasy, kiedy to na jej czubie osędziałym gościła nieraz w dwudziestu chłopa drużyna niezapomnianego prof. Chałubińskiego, a w dal nadskalną niosły się nuty zbójnickich, szumnych melodyj, krzesanych ze staroświeckich gęślików Sabałowych.

Jeden to z wierzchołków jej czteroszczytnej korony — ponury Szczyt Smoczy — stanowił cel kroków naszych. Ale nie spieszyło się nam ku owym ścianom, złowrogą zielenią płyt połyskującym. Tak słodko było teraz leżeć na miękkiej darni trawników i wodzić oczyma po dziko nad stawy spiętrzonych turniach, lub utonąwszy w bezkresach błękitu wsłuchiwać się w senny szept wody ciekącej pod głazami, że w piersiach przycichało na chwilę owe »coś« nieuchwytne, co człeka nieprzeparcie żenie z dolin w chłodny zmierzch krzesanic. I kto wie, czybyśmy nie byprzedumali całego dnia w dolinie, gdyby nie prof. Smoluchowski, który — nieubłagany w przeprowadzaniu zamierzeń — od pewnego czasu z niepokojem spoglądał na słońce i coraz energiczniej w drogę napędzał.

Po godnym popasie niezbyt tęgo szło się nam przez piarżyska i złomy, ku spadzistemu grzbietowi Smoczego, dzielącemu dolinę w dwie kamienne zatoki. Osiągnęliśmy go w siodle tuż powyżej trzech Szarpanych Turni, owych dziwnych tworów granitowych, w których nie wiadomo co więcej zachwyca: bezczelna zuchwałość konturów, czy wykwintny artyzm struktury. Obszedłszy po ścianie smukłą »Igłę« w Wysokiej, stajemy w górnej szczerbie grzbietu, który jeży się teraz po odległy szczyt niby potwornego Nausaurusa zakamieniały kościec, obrywając się nad samą przełączką kilikunastometrowym, pionowym uskokiem.

W myśl wskazań taternickich rozdzielamy się na dwie, linami osobno zabezpieczające się partje, z których druga, z czterech członków złożona, postępować ma za pierwszą w pewnym odstępie.

Krótkie chwile przygotowań i już pierwszy śmiga zuchwale po gładkich pozornie płytach, zawierzając swe istnienie jedynie wytrzymałości palców i dłoni, które bez drżenia czepiają się ledwo wyczuwalnych, deszczami wyżartych wklęśnień, karbów i listewek i unoszą ciało coraz wyżej i wyżej nad okrutną głąb kotliny...

. . . .

Długo, nazbyt długo więziła nas dzika grań Smoczego. Aż w końcu bystro dotąd spiętrzony grzbiet raptem ugiął się i runął potężną zerwą w przeciwną stronę.

Staliśmy na szczycie. — Krótką jest nasza radość.

Oto wzrok przez długie godziny do want przywarty, teraz w bezkres wolnej przestrzeni ze szczytu rzucony, widzi, że spłowiał, przygasł błękit nad nami i zasępienie wieczoru na skalnych legło uroczyskach.

Jeszcze skrzy się na czołach Tatr namiętny odblask zachodu i lśni w dalach poza siną plamą lasów świetlana, czysta — jak to pierwsze kochanie — tafla Jeziora Szczyrbskiego, lecz od stóp dźwiga się granatowa czeluść mroku, chłonie posłoneczną śreżogę, niesie się na osmętniałe zręby gór. W czarnych, jak przeznaczenie nieodgadnionych oczodołach stawków czai się posępna groza i z ciemniejącego dna kotliny patrzy ku nam dziwnie, przejmująco...

Zegarek wskazuje wpół do ósmej, czas największy do zejścia, jeżeli noc nie ma zatrzasnąć nam skalnych wrót ku dolinom. Jeszcze chwilę krzepi się pierś chłodzącem — jak woda ze źródła — powietrzem górskiego wieczoru i wraz milczący nasz pochód grąży się w cień prostopadłej niemal ściany, opadłej naprzeciw w stronę wierzchołka Wysokiej. Droga tu krótka, lecz niepokojąco stroma i ciągle nad przepaścią rozpięta. W gęstniejącej pomroce trzeba prężyć wszystkie siły, by nie spleznąć z turni lub nie stąpnąć w próżnię. Ale w taką chwilę czuwa nad człowiekiem piastuńcza dłoń instynktu, owej pierwotnej, w życiu tak często miałem formułek i teoryj zapylonej władzy ducha i daje mu nieprzeczuwaną moc, zapamiętanie, pewność niezwodną...

Jakoż rośnie ponad nas wierzchołek, a głębokie, w cielsku Smoczego wyłupane szczeliny pozwalają, przy troskliwem ubezpieczaniu liną, zsuwać się niżej i niżej w urwisko. W końcu nachylenie skał łagodnieje. Stajemy na szerokim, bezpiecznym gzymsie, skąd już łatwo dotrzeć po boku Wysokiej ku zwykłej, dobrze nam znanej drodze, prowadzącej z tego szczytu w Dolinę Złomisk. Prędko i wygodnie idzie się tędy...

Naraz z poza czerniących się przed nami uboczy skalnych wzbija się w milczenie nocy jakieś wołanie. Donośne, przenikliwe. To pierwsza partja, zbiegłszy wcześniej ze Smoczego, sygnalizuje swój niepokój o nasze losy. Odhukujemy wesoło i niebawem łączymy się z towarzyszami, by wspólnie rozpocząć zejście wzdłuż niewyraźnej smugi kilkuset-metrowego żlebu, spadającego z Wysokiej wprost w dolinę. Żmudny, nad wyraz nużący to pochód w ciemnościach, po omacku, jedynie na łaskę dłoni i ramion wyczerpanych, osłabłych całodziennym trudem...

Od rumowisk dolinnych oddzielała nas jeszcze stroma, ze zbocza góry wybrzuszająca się »bula«, której niewysokie, lecz wygładzone ścianki mogły w takiej ćmie niemiłą stanąć zaporą. Minęła właśnie północ, gdy trawki i piarżysko istotnie uciekły z pod nóg. Złowieszcza, nieprzenikniona pustka wyjrzała poniżej.

Próbujemy zejścia. Na lewo, na prawo — nie »puszcza«. Na nic obecność w gronie dwu autorów »Przewodnika po Tatrach«, na nic znajomość Żuławskiego ze »srebrnym globem«, co nie bacząc na niedolę swego aojdy, ukrył się kędyś w otchłaniach przestworza. Jeszcze chwilę migoce w mro-

kach nocy błędny ognik latarki Smoluchowskiego, który z węchem Siuksa z prerji dalekiego zachodu, szuka drogi wśród gzymsów i stopni — ale i ta próba doznaje wkrótce niepowodzenia. Droga zatraciła się w urwisku i ciemnościach. Leźć dalej nieszczęściu w gardziel — niema nikt ochoty. Niema zarady, trzeba czekać na skałach do rozświtu.

Wtuleni między głazy, chwilowo nawet radzi z wytchnienia, snujemy pogwarę, póki nie ogarnie nas zaduma, w którą spowiła się ciemna roztocz wygwieżdżonego nieba i drzemiące wokół zaświatowe widma gór. Ściekająca kędyś po niewidzialnych rozpadlinach siklawica szemrze bez przerwy cichą, rzewną pieśń, roztapiającą się w przestrzeniach świata, jak ta tęsknota człecza, której niema kresu ni ukojenia...

Nad ranem zahuczał po tarasach bliskiego świtu goniec, wicher wyżynny i jął chłostać napastliwym powiewem, do reszty płosząc sen z umęczonych powiek. Wreszcie w czerń nocy dotąd wtopiony, potworny szczerbiec grani Kończystej, zamajaczył fantastycznymi zarysami na tle nieba, w które na widnokręgu wsiąkać poczęły coraz żywszą smugą ciche barwy jutrzenki.

Przejrzysty obrzask świtu wlewa się niebawem i w kotlinę, niosąc nam wyzwolenie z mroźnego legowiska. Dźwigamy się ze skał, patrząc ciekawie za dalszym zejściem.

Trzysta djabłów zjadło!

Powtórzyła się z nami przygoda owych artystów z Sienkiewiczowskiej noweli: Noc przesiedzieliśmy tuż nad piargami doliny, a owe złowrogie urwiska u stóp skurczyły się teraz do nikłych, niewysokich płyt i stopni, któremiby i krowę przepędził.

Tak zemścił się Smoczy za spóźnioną wizytę.

* * *

Minęły lata.

Poprzez otchłań czasów ostatnich myśl płynie rada w przeszłość, ku chwilom orlich zapędów i zuchwałych czynów tatrzańskich. Płynie krzepić się pięknem młodości na graniach i turniach przedumanej. Wstają wspomnienia w otęcz świetlaną oprawne, mocne — jak żar południa, a jak las o wschodzie pachnące. Za jednym tylko wspomnieniem wlecze się smutek i głuchy żal. Nieprzeczuwanie zły los zawisł nad tymi, co ów dzień w Dolinie Złomisk górnie przeżyli. Odeszli w grób towarzysze nieopłakani, Żuławski i Smoluchowski, zaginęła wieść o Chmielowskim, roztracili się inni po świecie dalekim. Więc nigdy już nie staniem wraz, nadskalni druhowie, nad grani dzikiem urwiskiem i nie rzucim ze szczytu zwycięskiego krzyku, co niósł się skroś turni aż po polski niż słoneczny i nad Liptowem zadumany Dziumbir.

Hej »kajsi tak wszystko gna, jak mgły«...

Mieczysław Świerz.

Z taternickich poezyj.

Świat górski.

Wieczności sny kamienne, wrosłe w piargi bryły
granitu, spętanego w potworne zwaliska,
krzesane rąbanicą czasu, którą ciska
na wasze grzbiety ciągła moc wszechsiły!

Zczerniałe deszczem granie skalne zęby wpiły
w cielska chmur wichrem gnanych — raną szafir błyska;
w piekielnym tańcu turnie zawarły koliska
ponad siostrzyc trupami, którym koście zgniły...

Wrogami mi jesteście! — nieugiętość wasza,
obojętna, bezwzględna, poza krawędź bytu
wychylona przepastnie, w nicość mię rozprasza!...

Skały! kocham was wszystek — słuchajcie skowytu
tęsknoty serca ku wam, bo go nie przestrasza
żaden lęk — krom spojrzenia na świat... nie ze szczytu!

Walka.

Otom ruszył do boju — każdy muskuł drga mi
w żelaźcach nerwów spięty — czyn wolą wykuty;
wdzieram się na przepastne w urwiskach reduty
waszych królestw podniebnych — świat został za nami.

Wciskam się w wasze trzewia, okryte ranami,
kłem mrozów zadanemi — niechybnemi rzuty
dźwigam siebie, radosny z nieodpartej buty,
szaleństwem upojony... Krew mi dłonie plami!

Do walki bez pardonu! W każdym skał załomie
śmierci gad się czai... sił nadchodzi kraniec...
muszę ujść jej potwornej, żarłocznej oskomie!

Serce drży... rzut jeszcze — dobiegł końca taniec.
Triumf mój! w słońce złote wstępuję widomie —
... Ja nie was chciałem ugiąć: trwogim zdobył szaniec!

Samotna noc.

*Jak długi, płomienisty, rozedrgany sopel,
kłuje mię w senne oczy tajemniczym znakiem
gasnąca cicho watra — cykaniem jednakiem
dzwoni wokół ciszą: trącam zgasłą spopiel:*

*Snop iskier wypryśniętych, jak garść złotych kropel
wzbija się w bezdeń nocy świecącym zygzakiem;
jak płonący pióropusz nad krwawym szyszakiem,
tryska sieć migotliwa, bryzga w czarną topiel. —*

*Naraz usłyszałem, że gdzieś strumień płacze:
przeklina twardość złomów bezładnym pogwarem
krzywd nocą spowiadanych — męki swe tułacze. —*

*Wbijam w noc czujne oczy — nad całym obszarem
ktoś trzyma straż i czuwa — wiem, że nie zobaczę
nic, a drżę cały, wokrąg skier objęty żarem...*

Rafał Malczewski.

Wśród skał.

*Spocząłem pośród skał. — Daleko w dole
został się bór — przepadły hale, niwy,
hen! — pną się jeszcze kosodrzewin grzywy,
i ścian dokoła krąg i głazów pole.*

*Mocarstwo ćmy i ciszy granitowe
w wieczystym śnie bytuje tu zastygłe;
na ostrzach skał mrą wichry z dolin ścigłe,
słońce się łamie o turnic podkowę.*

*Spoczywam pośród skał. Na cios kamienny
pochylam głowę. — Zda mi się: daleki
zapłakał wiatr, — zaszumiał bór mój rodny...*

*Zapóźno już. — Opuszczam głowę senny
i otom jest jak głaz, i leżę tu już wieki,
i czekam nowych, spokojny, lity, chłodny.*

„Sucha woda".

*Szumi. — Słyszycie, szumi! — W piarg zwietrzały
zapadł tu strumień. — W głębi zwaliska
nurtuje, ryje, granity rozciska,
niezmordowanych grając walk hejnały.*

Wędrowcze! z czarką nie wyciągaj ręki...
przepadniesz w skałach. — Skryj się za uciosem,
bo strumień »suchy« — jest jedynie głosem,
a spragnionemu jeno źródłem męki.

Hej suchy zdroju! Ileż to już razy
szukałem ciebie, zasłuchan w ten zwodny
głos, którym kłamią obumarłe głazy.

Hej smutny zdroju! Z twych kryjówek skalnych
zda się, że wołał mię — ten nieodrodny
cień towarzyszki moich dni fatalnych!

Nocleg.

Nim na szczyt zdążył, noc go zaszła w ścianie...
Spojrzał wkoło — ni stopnia, ni krawędzi — —
Zrąb krzesany! — Gdzie stanął, noc przepędzi.
Obwiązał się liną — zacisnął ubranie.

Stanął krzepko, ramiony oparł się na skale,
spojrzał w dół. — Noc nadbiegła rychło!
Ściana z pod nóg zapada w przepaść czarną, zcichłą.
Ciemno!... Nawet i stawu już nie widać wcale.

Tylko tam — iskrą błyśnie albo smugą
latarka spieszącego do dom towarzysza —
Przywarł do niej oczyma i wiódł za nią długo...

aż zagasła za progiem u halnego gazdy.
— Westchnął — już tylko noc wokół i cisza,
szczytów mur zdruzgotany, i niebo i gwiazdy...

F. G. T. L.

Nowe drogi w Tatrach za czas od 1915—1920.

Zestawił dr. M. Świerz *).

Mały Giewont. Przejście wszystkich turni płd.-wsch. grani. E. Ziętkiewiczowa, dr. M. Świerz i W. Ziętkiewicz 2 maja 1920.

Kozie Czuby. Przejście południowej ściany. Dr. M. Świerz i dr. St. Świerz 2 września 1918 r.

*) Szczegółów o nowych drogach po płd. stronie Tatr zaczerpnięto z artykułu D. Reicharta jun. pt.: »Neue und nennenswerte Turen in den Hohen Tatra im Zeitraume vom 1915—1920«, umieszczonego w czasopiśmie »Turistik und Alpinismus« nr. 4 ze stycznia 1921.

Wielka Buczynowa Turnia. Wyjście północno-wschodnią granią (ograniczającą północny żleb z Buczynowej Przełęczy). S. Bronikowski, R. Małczewski, S. Ramwid i W. Świtalski w sierpniu 1916.

Mała Buczynowa Turnia. Nowa droga północną ścianą. E. Ziętkiewiczowa, dr. K. Piotrowski, dr. M. Świerz i W. Ziętkiewicz 14 lipca 1920.

Przełączka między Małą Buczynową Turnią a Ptakiem. Zejście ku północy. Dr. K. Piotrowski i dr. M. Świerz 14 lipca 1920.

Mnich. Nowy warjant od zach. Dr. M. Świerz 15 lipca 1917.

Ciemnosmereczyńska Turnia. Wyjście od północy. St. Fächer i J. Rzymek w lipcu 1919.

Krywań. Przejście północno-zachodniej ściany. O. Friedman, Gy. A. Hefty i E. Teschler 15 października 1916.

Ostra Przełączka (w płd. grani Ostrej). Zejście ku wschodowi. Dr. Gy. Komarnicki, Margit i D. Reichart jun. 22 września 1920.

Przednia Soliskowa Turnia. Wyjście wschodnią ścianą. A. Grósz i A. Wawrek 24 września 1920.

Małe Solisko (płd. wierzchołek). Przejście zachodniej grani. A. Grósz, dr. I. Györffy i A. Wiegandt 26 września 1920.

Terjańska Przełęcz Wyżnia. Zejście ku północy. M. i M. Schein'owie 10 października 1920.

Wielka Capia Turnia. Przejście zachodniej ściany. A. Grósz i A. Wiegandt 11 września 1920.

Mała Capia Turnia. Przejście zachodniej ściany. A. Grósz i A. Wiegandt 18 września 1920.

Przełączka między Capiemi Turniami. Zejście ku zachodowi. A. Grósz i A. Wiegandt 11 września 1920.

Baszta Zadnia. Przejście wschodniej ściany. A. Grósz i R. Szász 22 lipca 1920. Przejście zachodniej ściany. A. Grósz i H. Luczy 5 września 1920.

Szatan. Nowa droga wschodnią ścianą. A. Grósz 17 lipca 1920. Przejście wschodniej grani. A. Grósz i dr. I. Györffy 8 sierpnia 1920.

Mięguszowiecki Szczyt. Nowa droga południową ścianą. Dr. Gy. Komarnicki i D. Reichart jun. 23 września 1920.

Mięguszowiecki Szczyt Środkowy. Wyjście od południa. W. Delmár i dr. Gy. Komarnicki 23 marca 1916.

Hińczowa Turnia. Zejście ku zachodowi. B. Bukovcsán i A. Pokorny 22 sierpnia 1920.

Czeska Turnia. Przejście zachodniej grani. Dr. Gy. Komarnicki i D. Reichart jun. 24 września 1920.

Rysy Niżnie. Przejście północno-zachodniej ściany. Dr. Z. Klemensiewicz, B. Macudziński i dr. M. Świerz 24 sierpnia 1919.

Żabi Szczyt Wyżni. Przejście północnej ściany. Dr. K. Piotrowski i dr. M. Świerz 15 lipca 1920.

Żabi Szczyt Niżni. Przejście zachodniej ściany. St. Piasecki i dr. M. Świerz 13 września 1919.

Zmarzły Szczyt. Nowy warjant południową ścianą. Dr. Gy. Komarnicki 17 maja 1917.

Północno-zachodni Szczyt Gerlachu. Przejście wschodniej grani: R. Szász z przew. P. U. Spitzkopfem 9 września 1919. Nowe zejście ku pn.-wsch.: G. i D. Reichart jun. 9 września 1919. Wschodnia ściana: D. Reichart jun. i R. Szász 25 sierpnia 1920. Zachodnia ściana: A. Grósz, D. Reichart jun. i A. Wiegandt 23 października 1920.

Gierlach. Przejście zachodniej ściany, A. Grósz i D. Reichart jun. 14 października 1920.

Wyżnia Wysoka Gierlachowska. Wyjście zachodnią ścianą, dr. E. Egerváry i dr. L. Teschler 19 sierpnia 1920.

Przełączka między Wyżnią Wysoką Gierl. a półn.-zach. Szczytem Gierlachu. Wyjście od wschodu. Dr. E. Egerváry i dr. L. Teschler 19 sierpnia 1920.

Niżnia Wysoka Gierlachowska. Nowa droga od wschodu. Matoušek i Navratil z przew. Drápal'em 23 września 1920.

P. 2409 (po niem. Wessterspitze). Wyjście od płd.-zach. L. Lángos 9 sierpnia 1917.

Rożdziele. Wyjście od południowego-zachodu A. Lovass jun. i F, Vargha 22 lipca 1917.

Jaworowy Szczyt. Nowa droga od zachodu. A. Grósz, B. Palencsár, D. Reichart jun., A. Wiegandt i O. Zuber 10 października 1920.

Rywociny. Wyjście zachodnią ścianą. A. Grósz, L. Porpáczy i A. Vilkovszky 7 kwietnia 1918.

Spiska Grzęda. Wyjście od zachodu. Dr. Gy. Komarnicki 6 lutego 1916.

Kiezmarski Szczyt. Wyjście zachodniemi urwiskami. St. Keczely i A. Táy w sierpniu 1920.

Nowe zejście ku płd.-wsch.: R. Szász i O. Zuber 20 sierpnia 1920.

Kołowa Przełęcz. Przejście najniższego zagłębienia. Dr. Gy. Komarnicki 19 września 1920.

Kozia Turnia. Przejście wschodniej grani. Dr. Gy. Komarnicki, dr. G. Moiret, L. Rokfalusy i dr. Z. Tóth 23 września 1918.

Nowe wycieczki zimowe w Tatrach

za czas od 1915—1921.

Świnica. I. zejście do Dol. Pięciu Stawów. St. Porębski i dr. St. Wyżykowski 3 kwietnia 1921.

Niebieska Przełęcz. I. wyjście (od płd.). J. Oppenheim, dr. M. Świerz i W. Ziętkiewicz 14 kwietnia 1921 r.

Zawratowa Turnia. I. przejście grani zachodniej. J. Oppenheim, dr. M. Świerz i W. Ziętkiewicz 14 kwietnia 1921.

Granaty. I. trawersowanie trzech wierzchołków. J. Cybulski i dr. M. Świerz 3 kwietnia 1921.

Wielka Kopa Koprowa. I. wyjście z Dol. Wierchcichej. E. Ziętkiewiczowa, St. Fächer, H. Grossman, J. Oppenheim, dr. M. Świerz, W. Ziętkiewicz, L. Zwoliński 21 marca 1921.

Szpiglasowa Przełęcz. I. wyjście od północy. E. Ziętkiewiczowa, S. Fächer, H. Grossman, J. Oppenheim, W. Ziętkiewicz i 30 strzelców 15 kwietnia 1921.

Miedziane. I. trawersowanie z Dol. Pięciu Stawów do Dol. Rybiego Potoku Z. Ritterschild z 40 strzelcami 12 kwietnia 1921.

Przełęcz Szpara. I. wyjście (od południa). F. Förster i J. Páczay 25 stycznia 1916.

Mięguszowiecki Szczyt Środkowy. I. wyjście (od południa). W. Delmar i dr. Gy. Komarnicki 23 marca 1916.

Baniasta Turnia. Węgierski kurs wojskowy w r. 1915.

Sławkowska Przełęcz. I. wyjście (od północy). E. Kátai, dr. Gy. Komarnicki, S. Kölcsey i 16 żołnierzy.

Rówieńkowa Przełęcz. I. wyjście (od południa). W. Delmár i dr. Gy. Komarnicki 18 marca 1916.

Krzesany Róg. I. wyjście W. Delmár i dr. Gy. Komarnicki 18 marca 1916.

Rywociny. I. wyjście na pn.-zach. turnię (tzw. Hinterer Kohlbachtalturm). W. Delmár, dr. Gy. Komarnicki i 17 żołnierzy.

I. wyjście na płd.-wsch. turnię. Dr. G. Moiret i D. Reichart jun.

Juhaska Turnia. G. Schmidt 6 kwietnia 1916.

Z ALPEJSKICH WSPOMNIEŃ*).

Wolnym krokiem dążyliśmy w pierwszych brzaskach dnia ku schronisku Mutthorn'u. Przed nami łagodnie wznosił się piękny i łatwy lodowiec Tchingel, nad nim, w prawo, dziko poszarpane turnie Gspaltenhornu, a dalej surowe ściany Blümlisalp przykuwały na sobie uwagę. Poza nami w głębi nad pełną cienia doliną wystrzelała olbrzymia masa Jungfrau, dźwigająca na szczycie złoty diadem śniegów błyszczących w promieniach niewidocznego jeszcze słońca.

Niestety, towarzysze moi nie dość przygotowani do uciążliwszych wypraw, stają się pastwą choroby górskiej. Ogromnie mi to nie na rękę, bo umówiłem się z towarzyszem wszystkich dawniejszych wycieczek, że

*) Por. »Taternik«, rocznik VIII, nr. 1.

dziś jeszcze spotkamy się z nim na Fafleralp, w górnej części doliny Loetschental. By uniknąć straty czasu, opuszczam towarzyszy z ich przewodnikiem i pośpieszam do schroniska, gdzie zastaję kilku turystów i przewodników. Zasięgam ich zdania co do przejścia na Fafleralp i utwierdzam się w przekonaniu, że będę musiał inną drogę obrać, niż moi towarzysze. Czekam tylko na nich, żeby się pożegnać i zabrać od nich zapasy, których oni już nie potrzebowali. Bardzo późno ruszyłem ku Petersgrat (3200 m.) i stanąłem tam dopiero o dziesiątej, olśniony widokiem niezwykłej wspaniałości. Cały korowód niepokalanie białych szczytów ciągnął się, jak okiem sięgnąć, w nieskończoność. Na czele królewski Bietschhorn przewyższał inne wyniosłością i szlachetnością kształtów, za nim w oddali widniały masywy Monte Rosae, Mischabel, Weisshornu i wiele innych aż po Mont Blanc, gubiący się na widnokręgu w przesyconem blaskami powietrzu.

Petersgrat trudno nazwać przełęczą; jest to tylko długi, prawie poziomy grzbiet lodowcowy. Ku południowi śnieżna powierzchnia zaczyna się nieznacznym spadkiem, by ku dołowi przejść w coraz stromszą. W środkowej, widocznej jeszcze części lodowca zarysowują się pod nieprzerwanym całunem zimowych śniegów, krzyżujące się nakształt siatki, kierunki ukrytych szczelin. Tu przejście dla samotnego wędrowca niemożliwe. Wypadnie próbować zejścia w pobliżu grani, wybiegającej szeregiem kształtnych turniczek wprost z lodowca. Grańka ta dzieli dolną część lodowca na dwie części, z których lewa zwie się Aeusser-Thalgletscher, prawa Telligletscher. Tą ostatnią wiedzie zwykła droga w dolinę Lötschental. Chcąc się dostać najkrótszym sposobem do hoteliku na Fafleralp muszę zejść przez prawą odnogę: jest to kardynalne przestępstwo przeciw najelementarniejszym zasadom alpinizmu i zdrowego rozsądku. Czasu jednak niema na obejście zwykłą drogą: bądź co bądź o jedenastej będę na Fafleralp! A więc zdwojona uwaga i baczność na wszystko, sumienne sondowanie czekanem, to jedyny sposób zabezpieczenia się! Pierwszych kilkaset metrów nie nastręcza trudności: szczeliny rzadkie i niezbyt szerokie dają się z łatwością przeskakiwać, znajduje się jednak parę takich, które trzeba obejść z powodu ich zbytniej szerokości; mosty na nich są już za słabe i za cienkie, aby się na nie zapuszczać bez asekuracji. Im dalej w dół, tem gorzej, grzęznę w śniegu nieraz po kolana, szczeliny mnożą się do tego stopnia, że tracę zupełną swobodę ruchów. Na szczęście zbliżam się ku prawemu brzegowi lodowca; jeszcze kilka skoków, a będę na dobrym śniegu. Jeszcze kilka skoków... i wpadam po ramiona w zdradziecką szczelinę. Nogi kołyszą się w próżni — wiszę na szeroko rozłożonych ramionach i trzymanym w poprzek czekanie. Jeden niezręczny ruch wystarczy, by dostać się na dno szczeliny, tej skrzynki na przesyłki adresowane do wieczności. — Trudno mi orzec, czy to była jedna sekunda czy to minut kilka, czy cały wiek, zanim zdecydowałem się na próbę wydobycia się, póki jeszcze reszta sklepienia śnieżnego się nie zawali.

Wbijam czekan przed siebie w śnieg głęboki i nagłym ruchem podciągam się na nim oburącz, bryły śniegu obrywają się podemną, rozbijając się z metalicznym szelestem w głębi lodowej czeluści. Udało się. Stoję na brzegu i z pełną uszanowania ciekawością spoglądam w wielki, zieleniejący ku głębi otwór, który mógł być bramą grobowca...

Niedługo potem dobiegałem do skromnej gospody na Fafleralp. W progu spotykam Józia P., który mnie punktualnie według umowy oczekiwał. Wesoło spożyliśmy obiad, układając rozmaite plany na dni najbliższe, a na dalszą pogawędkę przenosząc się na wygrzane w pogodnem słońcu olbrzymie buły kamienne. Przez koronkową zasłonę modrzewiowego zagajnika przebłyskiwała ku nam srebrzysta, wspaniała piramida Bietschhornu. Lecz nie on miał być naszym najbliższym celem. Pociągały nas teraz najrozleglejsze śniegowe postacie Alp, gdzie rodzi się król europejskich lodowców, wielki Aletschgletscher. Droga nasza wiedzie przez Loetschenlücke, widną wprost przed nami na wschodzie u początku naszej doliny.

Opuściwszy Fafleralp (1789 m) kierujemy się wzdłuż mlecznych wód Lonzy ku ostatnim szałasom. Pusto tu jeszcze i cicho, tylko świstaki spłoszone nawołują się przeciągłym gwizdem. Mijamy ostatnie drzewa i odnajdujemy niewyraźny ślad ścieżki, który prowadzi nas coraz wyżej po prawem zboczu doliny. Na dole, głęboko pod nami widać język lodowca, gubiący się w chaotycznem nagromadzeniu moren, wśród których blado połyskują zielone oka drobnych stawków. Ścieżka zatraca się zupełnie na piarżystym terasie, który urywa się parusetmetrowym progiem nad dolnym końcem lodowca. My jednak trawersujemy dalej i pierwszym napotkanym żlebkiem schodzimy do brzeżnej szczeliny. Po niedługich poszukiwaniach natrafiamy na wąskie miejsce, które można przeskoczyć i wydostajemy się na powierzchnię lodowca. Śniegu na nim niema prawie wcale, szczeliny niewiele sprawiają nam kłopotu, choć ich coraz więcej. Szybko docieramy do wysokości około 2400 m. Od miejsca tego śnieg pokrywa już całą powierzchnię, a z prawej i lewej strony spływają poboczne lodowce, sprawiając znaczne zaburzenie w prawidłowym dotychczas przebiegu szczelin. Zaczynają się trudności; przystajemy tedy na chwilę i wiążemy się liną. Słońce przygasa. Odwracam się, by przyjrzeć się zachodowi i doznaję niemiłego uczucia: oto u wylotu doliny powstał ciemny wał chmur, za który słońce zapadło. Trzeba się przygotować na niemiłą niespodziankę. Pocieszam się myślą, że do przełęczy nie tak daleko, trzy godziny — może nie więcej, ale zato tam już gościnne schronisko. Powoli i ostrożnie obchodzimy na lewo najgorszą część lodowca. Tymczasem ściemnia się gwałtownie, a chmury dopędzają nas szybko. Jeszcze chwilka i ogarnia nas dusząca, gęsta mgła. Gdzieś w turniach zahuczał grzmot, szarpnął się nagle wicher i sypnął śnieg, zrazu drobnemi krupami, potem coraz gęstszemi igiełkami lodu. Zadymka rozszalała się na dobre...

Otuleni w peleryny, mozolnie wędrujemy dalej. Mrok zupełny i kur-

niawa zlewają się w jednolitą szarość, z której zaledwie wyróżnić można postać towarzysza, idącego o pół długości liny. Nachylenie lodowca staje się coraz większe i zmusza do wybijania stupaji w miękkim i nie spoistym niegu. Szczeliny, chociaż rzadsze, stawiają przeszkody poważne, bo lawirujemy między niemi bez światła, gdyż nie udaje mi się zapalić latarki. Zmęczenie daje się nam mocno we znaki, szczególnie mojemu towarzyszowi, mającemu dzisiaj za sobą spacer od samego Gampel w dolinie Rodanu, i to bez poprzedniego treningu. Spostrzegłszy u niego pierwsze objawy choroby górskiej, zatrzymuję pochód dla odpoczynku i przegryzienia czegokolwiek. Odrobina koniaku wzmocniła nieco nadwątlone siły, więc pomimo najgorszych warunków posuwamy się do góry. Ale przeszkody się mnożą, czego o siłach naszych powiedzieć niepodobna. Brniemy w głębokim śniegu, który ciągle z pod nóg się usuwa i nas samych w dół pociąga. Lina też niemiłosiernie zawadza, plącząc się pod nogami i wywracając nieraz idącego przodem, nie możemy jej jednak odłożyć z powodu szczelin. Jakoż z jedną z nich zawiera każdy z nas po kolei bliższą znajomość. Ale jesteśmy tak zmordowani, że nie czyni to na nas najmniejszego wrażenia. Każdy krok naprzód pod przygniatającym ciężarem przeładowanych worków musimy okupywać olbrzymim wysiłkiem woli.

Godziny mijają na zdobywaniu piędzi po piędzi terenu, wśród wycia wichru i srożącej się nawałnicy. Wtem czuję, że stok łagodnieje, dochodzimy do przełęczy. Nareszcie! Zupełnie płaski i twardy śnieg rozciąga się wokoło nas na wszystkie strony i utrudnia orjentację. O kilka minut drogi od przełęczy wznosi się schronisko (Steiger-hütte, 3240 m), lecz jak się do niego dostać? Przypominam sobie fotografję z przełęczy, kiedyś dawno widzianą; wszystkie szczegóły z dziwną jasnością stają mi w oczach: w głębi schronisko na stromej skale, pod niem lód, na prawo, ku przełęczy, kilka ogromnych szczelin, między któremi trzeba się prześliznąć... Żeby mieć jakie takie prawdopodobieństwo przedostania się przez te szczeliny, trzeba je widzieć, a ciemności panują egipskie. Więc znów się zabieram do zapalania latarki, lecz figlarny wiaterek nie ustępuje i gasi ją skrupulatnie, nim ją zdążę zamknąć. Udało mi się jednak spojrzeć na zegarek: wpół do dwunastej. Za cztery godziny już będzie dniało, mamy więc czas zastanowić się nad dalszemi losami. Wykluczam próbę dostania się bez światła do schroniska, a zejście na drugą stronę do odległej o trzy godziny »Concordii« wydaje się niemożliwem wobec okrutnego zmęczenia. Trzecia możliwość, to pozostanie na miejscu aż do rana. Wybieramy ją, jako najrozumniejszą i bierzemy się odrazu do przygotowań celem zabezpieczenia się od wiatru i zimna. Czekanami wygrzebujemy głęboki dół w śniegu, zasiadamy blizko siebie dla ciepła i czekamy... Pocieszamy się wspomnieniem czternastogodzinnego biwaku w zimie pod Diableret'ami; zimno teraz, ale wtenczas było nam zimniej. Powoli, powoli przychodzi rodzaj pół-snu, odrętwienie, z którego nie możemy się wyrwać. Myśli błądzą leniwie, plączą się... zimno... kurczę się i zwijam jak mogę, próbuję my-

śleć o schronisku, o herbacie, ciepłych kocach... Zimno... zimno... dreszcz wstrząsa mną, podnoszę głowę: szaro. Śnieg ustał, tylko lodowaty wicher dmie wprost w oczy, od wschodu, porywa kłęby chmur, podnosi je i dalej przerzuca. Ukazują się ośnieżone świeżo skały, a wreszcie tuż niedaleko jasne ściany schroniska.

Powoli, chwiejnym krokiem powlekliśmy się ku niemu, zadowoleni, że nie uczyniliśmy tego po ciemku, bo szczeliny owe wcale nie łatwe były do obejścia. Pogoda jednak nie wracała, na nowo zaczęła się zadymka i trwała dzień cały aż do południa.

Najedzeni, wyspani i wypoczęci, wymaszerowaliśmy pod wieczór ku Concordii. Zabawnie wyglądało miejsce naszego noclegu na przełęczy: z głębokiej dziury wychodziły dwa ślady, wchodzących ani można było się domyślać. — Wypogodziło się prawie zupełnie, nad głowami mieliśmy piękny, głęboki błękit nieba, a tylko po bokach wielkie kłęby mgieł czepiały się wynioslych szczytów, kołysząc się w łagodnym podmuchu wiatru. Cudna była wędrówka dwukilometrowej szerokości doliną Gross-Aletschfirn'u. Łagodne nachylenie i dobry śnieg pozwalały na zupełną swobodę ruchów i podziwianie widoków coraz czyściej się rozpościerających.

Schronisko »Concordia« usadowiło się na wązkim cyplu skalnym u lewego brzegu lodowca, w wysokości 2850 m, w miejscu, gdzie schodzą się cztery największe »Firny«, by utworzyć jeden prawdziwy dolinny lodowiec. Z terasy przed schroniskiem widzimy początek lodowca Gross-Aletschgletscher, płynącego wprost ku południowi, niby spokojna rzeka wśród skalnych brzegów. U stóp naszych o jakie sto metrów niżej pod nami, leży Concordiaplatz, któryśmy dopiero co przebyli; za nim w głębi, ku północnemu-wschodowi widnieje szczyt Jungfrau. Lecz jakże niepodobny do owej pięknej wprawdzie, ale tak niemiłosiernie oklepanej sylwety od strony Interlaken. Stąd na pierwszy rzut oka wydaje się dość niepozornym, potem jednak przyciąga swoim brakiem symetrji i indywidualnym charakterem.

W schronisku jest prócz nas kilku Francuzów i gospodarz. Kolacja robi się wspólnemi siłami, przy wydatnej pomocy gazdy i dzięki temu możemy napatrzyć się zjawisku żarzenia się gór, które świetną aureolą opromienia wierzchołek Jungfrau. Był to moment decydujący; ten błyszczący wierzchołek zyskał naszą sympatję i stał się celem jutrzejszej wyprawy.

O wpół do 4-ej rano wychodzę dla zbadania, czy nam nieba będą łaskawe. Ciemno jeszcze zupełnie, cicho i ciepło, kilka gwiazdek błyszczy w górze, ale wokoło po szczytach snują się niesympatyczne mgły. Prognoza nie wypada zbyt pomyślnie, mimo to niebawem ruszamy, zabierając jak najmniej ciężaru. Jeden niesie linę, zbyteczną na razie, a drugi worek z zapasami. Świt zastaje nas już na lodowcu. Kierujemy się popod stoki Trugberg'u, nieznacznie się wznosząc. Pogoda stanowczo się psuje; ciężkie, czarne, rdzawo przeświecające chmury gromadzą się za Jungfrau; powietrze jakieś duszne, w dodatku dziwny, jękliwy szmer słyszymy od

pewnego czasu, nie pojmując co to ma znaczyć, aż wreszcie okazuje się, że to elektryczność gra na naszych czekanach, niesionych na ramieniu Gdy podniosłem czekan ostrzem do góry, ukazała się na nim fioletowa miotełka iskier, a brzęczenie stało się bardzo głośne. Zjawisko to trwało około 10 minut. Idziemy jednak dalej i po trzech godzinach od wymarszu docieramy do kotła położonego u samych południowych ścian Jungfrau. Wierzchołek jej gubi się już w chmurach, pędzących szybko od zachodu. Na lewo od szczytu mamy przed sobą Rottalsattel (3857 m), do którego się idzie zwykle po śniegach i skałach z lewej strony. Dziś nie byłaby to bezpieczna droga, ze względu na świeże nawisy, czekające tylko sposobności do oberwania. Kierujemy się przeto w prawo pod ściany Jungfrau, potem zwracamy na południe aż do linji spadku Rottalsattlu. Po lekkiej przekąsce zabieramy się do pokonania stromego zbocza wprost do góry. Niebawem zaczyna się rąbanie stopni w lodzie drobnoziarnistym, łatwym do obrabiania, ale przysypanym świeżym śniegiem. W miarę jak stok staje się coraz stromszy, robota zaczyna być mniej miłą, więc kuję w możliwie rzadkich odstępach. W jednej trzeciej wysokości stoku zagradza nam dalszą drogę ogromna szczelina brzeżna, typowy »Bergschrund« nie do przebycia. Bez trudu udaje się go okrążyć po stronie Jungfrau, ale o kilkadziesiąt metrów wyżej grozi nam taka sama rozpadlina z tą różnicą, że się na prawo obejść nie da. Trawersujemy więc na lewo po głębokim, a niepewnym śniegu między obu szczelinami, aż pod skały Rottalhorn'u i znajdujemy nadwątlony mostek śnieżny, po którym wciągamy się na górny brzeg. I znów monotonna praca rąbania czekanem. Mnożą się za nami w miarowych odstępach wykute stupaje i coraz bliżej przechyla się nawis Rottalsattl'u. Słychać już poświsty wichru na grani, a z oddali dolatuje pomruk zbliżającej się burzy. Przerąbuję nawis i wynurzam się na poziom przełęczy, lecz w tej samej chwili się cofam, przyjęty istną salwą gradu. Czekamy aż się nieco uspokoi, a tymczasem rozgrywa się przed naszemi oczami najwspanialsze zjawisko, jakie można podziwiać w górach, burza. Czarne chmury o miedzianych połyskach przewalają się przez granie i szczyty, trupią bladością przyobleczone. Wtem padł jasny promień gromu i głuchem echem odbił się dokoła, potem drugi i trzeci... biją w turnie wschodniej grani, odłupując z niej potężne bloki skalne. Po pewnym czasie grzmoty cichną, burza się oddala, a ostatnie błyskawicn tworzą świetlistą aureolę około zakapturzonej głowy »Mnicha«. Wiatr tylko dalej wygrywa swoje monotonne pieśni. Idziemy ku szczytowi. Grań od przełączki śmiało wznosi się ku górze. Pod grubą warstwą świeżego śniegu czai się czarny lód, ten wróg nieubłagany, z którym tylko cierpliwą i wytrwałą pracą walczyć można. I znowu setki stopni znaczą naszą drogę po białej grani, wśród białych mgieł. Niebawem stajemy u drewnianego słupka, ledwie wystającego z ogromnych ku północy przechylonych nawisów. To szczyt. Chmury gnane wichrem wirują, szamocą się i strzępią, tu i ówdzte roztwierają się na chwilę, by zamknąć

się jeszcze szczelniej niż przedtem. Przez jedno takie okno dostrzegam kawał lodowca Roththal'u, a nad nim przepaściste lodowe ściany Ebnefluh. I to był cały widok ze szczytu Jungfrau.

Natychmiast zaczynamy odwrót, bo znowu zaczyna się zadymka i zasypuje nasze ślady. Teraz mój towarzysz idzie naprzód i odgrzebuje stupaje, ja podążam za nim o całą długość liny, lecz nie jednocześnie bo o asekuracji trzeba myśleć na serjo, przy tak silnej wichurze, że trudno utrzymać równowagę w niewygodnych stopniach.

Swobodniej odetchnęliśmy dopiero po przebyciu obu wielkich szczelin, na płaskim lodowcu. Wprawdzie gorzej się po nim szło niż rano, z powodu rozmiękłego śniegu, lecz mimo tego w krótkim stosunkowo czasie przebrnęliśmy lodowcowe bagno Concordiaplatz'u i dotarli z powrotem do schroniska, dwanaście godzin od chwili wymarszu. Nazajutrz wczesnym rankiem, przy cudownej pogodzie, udaliśmy się w dół lodowca, aż do sławnego jeziorka Märjelen-See o szmaragdowych wodach i pływających górach lodowych w miniaturze. Za jeziorkiem zaczyna się świat cywilizowany, z wygodnemi ścieżkami, po których spacerują panowie w żółtych bucikach i słomkowych kapeluszach i panie z kolorowemi parasolkami. To goście z hotelu Jungfrau pod Eggishorn'em, do którego i my niebawem dochodzimy.

Po wykwintnym obiedzie zapisujemy się w księdze hotelowej; »w powrocie z pierwszego letniego wyjścia na Jugfrau w stuletni jubileusz pierwszego wyjścia«.

Edward Janczewski.

NOWE DROGI.

Kozie Czuby. I. przejście południowej ściany. Z bratem moim, dr. Stanisławem Świerzem, dnia 2 września 1918 r.

Z niewysokiego zwału, zamykającego najwyższe piętro Pustej Dolinki, kierujemy się po grubym piarżysku w stronę ujścia wąskiego, w górnych partjach przewieszonego żlebu, opadającego z Koziej Przełęczy Wyżniej ku płd. Osiągnąwszy jego wylot, dążymy lewym skrajem ok. 20 m. do miejsca, gdzie w lewo odsłoni się nam, ukryta dotąd, ukosem pod przewieszającemi się skałami biegnąca, załupa skalna. Nią w górę, miernie stromo i bez trudności, na obszerny, południową ścianę skośnie w lewo przerzynający zachód trawiasty. Po kilkudziesięciu metrach zachód rozwidla się, kierujemy się przeto poprzez skalne stopnie wprost w górę, by po kilku metrach osiągnąć górne rozgałęzienie zachodu. Niem w dalszym ciągu skośnie w lewo, zrazu popod samą ścianą, następnie jego zewnętrzną wypukłością, gdzie pokonać musimy kilkumetrową, dobrych chwytów pozbawioną ściankę. Zdążając dalej bez trudności poprzez strome,

strawiaste stopnie, dochodzimy do małego siodełka, w którem dalsze rozwidlenie zachodu, zagiąwszy się w prawo — ku górze — łączy się z naszym zachodem. Stąd w górę, skośnie w prawo, żłobiącą się w ścianie, długą rynną, która stając się coraz spadzistszą i bardziej skalistą, przechodzi w pionowy, głazem zatkany kominek. Obchodzimy go na prawo, poprzez gładkie, płytowe skały, poczem wspinamy się dalej dnem rynny, aż pod pionową, litą ścianę szczytową. Tuż poniżej miejsca, od którego nasza rynna zwęża się w czarną, prostopadłą rysę, otwiera się na lewo stroma, płytowa załupa, którą wspinając się ku górze skośnie w lewo — w znacznej ekspozycji i niełatwo — wydostajemy się na główną grań w zacięciu między środkowym a najwyższym zębem szczytowym Kozich Czub. Od wejścia w skały $1^1/_4$ godz.

Droga średnio trudna, z powodu trawiastego częściowo terenu, niezbyt interesująca, wiodąca jednak w otoczeniu potężnych i nadzwyczaj stromych urwisk. *Dr. Mieczysław Świerz.*

Kozie Czuby. II. przejście*) północnej ściany. Podpisani dnia 27 września 1920.

Z progu Koziej Dolinki olbrzymim stożkiem usypisk do miejsca, gdzie poprzez dolne, przewieszone urwiska północnej ściany Kozich Czub — nieco na prawo od linji spadku ich wierzchołka — podnosi się skośnie w lewo, w kierunku bocznej (wschodniej) krawędzi ściany, charakterystyczna, olbrzymia załupa płytowa. Zrazu wspinamy się stromą i kruchą rynną, utworzoną przez zetknięcie się załupy z przewieszonemi ścianami na prawo, poczem — gdy rynna przejdzie w płytowe progi — trawers w lewo na zewnętrzną, rodzaj grzędy tworzącą krawędź załupy. Nią w górę — w pobliżu lewych urwisk — w miłej wspinaczce po mocnej skale, zrazu bardzo stromo, później już łagodniej w zygzak wśród eksponowanych płyt. Trzymając się ciągle lewej krawędzi, docieramy do spadzistej płyty, którą przechodzimy z pomocą podłużnego pęknięcia do jej górnego końca (hak), gdzie dalszą drogę zamyka kilkumetrowy, prostopadły próg. Stąd w prawo przez 4-metrową, w górze nieco przewieszoną i odpychającą ściankę progu (trudne) na dobry stopień wśród płyt (hak). Od miejsca tego ciągnie się w lewo, kilkunastometrowa, silnie ku przepaści nachylona płyta, na którą z góry zachodzi łukowato załamany pas przewieszek. Od haka zrazu kilka metrów wprost w górę pod przewieszki, poczem — tuż poniżej nich — skośnie w lewo, górną, gładką i bardzo eksponowaną krawędzią płyty (najtrudniejsze miejsce — brak chwytów dla rąk) do ukrytej za załomem rysy, przechodzącej zaraz w łatwą rynnę. Z rynny w prawo na dobre stopnie trawiaste, gdzie na prawo poczynają się olbrzymie, nachylone płyty. Niemi w górę w pobliże zwierającego się nad niemi pierścienia ścianek, poczem przez rozdzielający je stopień w dół i z pomocą pęknięcia na

---

*) I. przejście: dr. M. Beynarowicz, J. Lesiecki i Cz. Piasecki dnia 18 sierpn 1912 r.

prawy skraj płyt. Nim w górę, a następnie obniżając się w prawo, nieco ku dołowi, do dość głębokiej, w kierunku pionowym ciągnącej się i u dołu pionowym progiem zamkniętej rynny. Rynną poprzez próg w górę, poczem w prawo przez łatwe stopnie trawiaste na ograniczającą rynnę prawą grzędę i nią bez większych trudności (teren wszędzie dostępny) na grań pod środkową turnią szczytową. Stąd w lewo w kilka chwil na główny wierzchołek (od wejścia w skały 2 godziny).

Droga eksponowana — z wyjątkiem dwu miejsc — średnio trudna, zasługuje dla swej oryginalności na częstsze powtarzanie.

Aleksander Schiele. *Dr. Mieczysław Świerz.*

Mała Buczynowa Turnia. Nowa droga północną ścianą. Podpisani dnia 14 lipca 1920 r.

Zamiarem naszym było wyszukanie przejścia, któreby rozwiązywało problem północnej ściany w sposób łatwiejszy i bliższy linji spadku wierzchołka, niż to czyni droga pierwszych zdobywców*), technicznie bardzo trudna i wiodąca już zachodnią połacią ściany. Obu tym założeniom droga poniżej podana odpowiada w zupełności.

Nieco na prawo od miejsca, w którem północna ściana najniżej w usypiska zstępuje, wyodrębnia się z niej — rodzaj ostrogi tworząca — bula, położona u wylotu żlebu, który zbiega z Buczynowej Przełęczy ku pn. Osiągnąwszy bulę od prawej strony, wspinamy się nią skośnie w lewo przez kruche, trawkami przetykane skałki, któremi docieramy do nader stromej, poniżej uskokiem oberwanej rynny skalnej, ograniczającej od lewej będącą w mowie bulę. Rynną w górę ok. 20 m., poczem na prawą jej grzędę. Nią poprzez kruche i niemiłe stopnie ok. 30 m. zrazu wprost do góry, wyżej ukosem w lewo na grzędę, poza którą na lewo kryje się spadzista, progami opadająca rynna. Z grzędy nieco ku dołowi na dno rynny i po jej przekroczeniu eksponowanym, niełatwym trawersem na lewą grzędę, tworzącą nadzwyczaj stromą i ostrą krawędź skalną. Nią w górę w znacznej ekspozycji lecz po dobrej, choć skąpej w chwyty, skale, do miejsca, gdzie grzęda spiętrza się w pionowe ściany, poczem skośnie w prawo na dno rynny ponad jej uskokiem. Wyżej rynna przechodzi w ok. 4 metrowy, nieco przewieszony próg, który pokonywamy zrazu trawersem po niezwykle kruchej skale od lewej, a następnie wprost w górę z pomocą rysy (dla rąk dobry, ponad przewieszką ukryty chwyt). Dalej rynną w górę, by ją poniżej miejsca, gdzie przechodzi w czarny, przewieszony komin, opuścić na prawą grzędę. Stąd w górę przez strome bloki i stopnie oraz kilkumetrową ściankę, powyżej której zwracamy się w lewo, z powrotem do komina, osiągając go w piarżystem pięterku. Stąd dnem prostopadłego komina kilka metrów w górę (lub — bardzo trudno — przez gładką, płytową lewą ściankę) na jego piarżyste dno, przechodzące w dość głęboką, skośnie w lewo ciągnącą się, łatwą rynnę. Nią kawałek

*) I. przejścia dokonali: K. i A. Schielowie i A. Znamiecki dnia 23 sierpnia 1911.

w górę, a następnie przez stopnie, bloki i trawki skośnie w prawo wprost na wierzchołek. Od wejścia w skały $2^1/_2$ godz.

Droga dość trudna i eksponowana; skała częściowo silnie zwietrzała.
Dr. Kazimierz Piotrowski. Dr. Mieczysław Świerz. Ela i Władysław Ziętkiewiczowie.

Przełączka między Małą Buczynową Turnią a Ptakiem. I. zejście ku północy. Podpisani dnia 14 lipca 1920 r.

Z przełączki między Małą Buczynową Turnią a Ptakiem opada ku pn., na piargi Dol. Pańszczycy, głęboki, ukośnie biegnący i pionowemi progami urywający się komin. Z przełączki prostopadłym, nadzwyczaj zwietrzałym uskokiem komina — z pomocą zapierania — ok. 5 m. w dół na jego mniej pochyłe, piarżyste dno, poczem przez drugi i trzeci próg (na całej przestrzeni skała niezwykle krucha). Kilka metrów poniżej trzeciego progu, gdzie komin, rozszerzając się nieco ku dołowi, tworzy wysoki, o wygładzonych ścianach uskok, opuszczamy go, trawersując po bardzo kruchych stopniach na prawą (orogr.) grzędę do bocznej, w kierunku komina spadającej rynny. Nią ok. 6 m. ku dołowi, poczem trawers w prawo poza obręb komina na dobre stanowisko w grzędzie. Stąd w dół, skośnie w prawo po eksponowanych i kruchych skałkach i trawkach na siodełko w bocznem, w stronę doliny wysuwającem się żebrze Ptaka. Z siodełka ok. 15 m. w dół w nader spadzistym terenie, poczem w lewo z powrotem na grzędę komina i nią w dół na usypiska u wylotu komina (1 godz.).

Zejście dość trudne, eksponowane i z powodu zwietrzałych skał niebezpieczne. *Dr. Kazimierz Piotrowski. Dr. Mieczysław Świerz.*

Mnich. Nowy warjant od zachodu. Podpisany dnia 15 lipca 1917 r.

Zwykłą drogą do platformy pod przewieszką, którą załamuje się w dole znana »płyta«. Stąd poziomą, dobrą półeczką w lewo ok. 5 m. do miejsca, gdzie pierścień przewieszek przerzyna pionowe pęknięcie, biorące początek na »płycie« poniżej czarnej, malutkiej nyży. Pęknięciem w górę na niewielki stopień, poczem — ok. 3 m. poniżej wspomnianej nyży — przez lewą krawędź na gładką i pochyłą, silnie eksponowaną płytę i nią, skośnie w lewo, z pomocą wąziutkiej listwy do ciągnącego się nieco w prawo zacięcia. Zacięciem w górę na pn. grań w miejscu, w którem osiąga ją zwykła droga przez »płytę«.

Warjant od »drogi przez płytę« nieco trudniejszy i bardziej eksponowany, lecz efektowny, mogący urozmaicić wyjście na Mnicha dla taterników, którym zwykłe szlaki zbyt już dobrze są znane.
Dr. Mieczysław Świerz.

Mięguszowiecki Szczyt. Przejście uskoku wschodniej grani. Podpisani dnia 18 września 1919 r.

Wschodnia grań Mięguszowieckiego Szczytu wznosi się z Mięguszowieckiej Przełęczy Wyżniej niezwykle stromą, urwistą ścianą, którą przerzyna po lewej (płd.) stronie głęboki komin. Kominem tym wiedzie zwykła,

przez dra G. Künnego, dra A. Martina i dra H. Rumpelta 16 sierpnia 1908 r. odkryta droga; odmienny sposób przejścia dolnych urwisk grani — prawdopodobnie identyczny z warjantem znalezionym przez J. Jankowskiego z J. Marusarzem w r. 1909 — przedstawia się następująco:

Z przełęczy, nieco na prawo od linji, jaką stanowiłaby idealna krawędź grani, spiętrzają się na ścianie bardzo strome bloki i złomy, któremi wciągamy się w górę. W połowie ich wysokości trzeba pokonać silnie nachyloną, gładką i trudną ściankę, by następnie — po przejściu dalszego spiętrzenia głazów (miejsce to przypomina ogromnie 10-metrowy uskok na wsch. grani Żabiego Konia) — wylądować na małej platformie pod litem urwiskiem. Ponad nami ściana przewiesza się, podchodzimy tedy z platformy w górę, skośnie w lewo, do bloku, z którego w odległości ok. 6 m. widać na lewo wspomniany we wstępie komin. Teraz następuje bardzo trudny trawers w lewo (przy pierwszym kroku niewidoczny chwyt w górze). Stanąwszy na odpękniętym głazie, wspinamy się wprost do góry z pomocą gładkich i skąpych chwytów do wgłębienia w prawo, które tworzy ściana i przewieszona nad nią, do grzebienia podobna grań. Z wgłębienia znowu wskos na lewo (z trudem) na małą platformę, położoną tuż nad kominem, poczem ok. 3 m. w górę (nieco w prawo) do miejsca, gdzie teren staje się łatwiejszy. Kominem na grań i nią już bez trudności na szczyt. Trudności drogi zbliżone do trudności pn. ściany Mnicha.

Bohdan Krzemiński. Ela i *Władysław Ziętkiewiczowie.*

Niżnie Rysy. I. przejście północno-zachodniej ściany. Podpisani dnia 24 sierpnia 1919 r.

Północno-zachodnia, z nad brzegów Czarnego Stawu nad M. Okiem tak imponująco przedstawiająca się ściana Niżnich Rysów opada nie z najwyższego, w głąb zasuniętego i niewidocznego ich wierzchołka, lecz od najbardziej ku północy wysuniętej, olbrzymim uskokiem oberwanej turni szczytowej, stanowiącej drugie — licząc od głównego wierzchołka — spiętrzenie północnej grani. W ścianie — przerzniętej w górnej jej części systemem poziomych, jasnych półek, a zresztą pozbawionej wybitniejszego urzeźbienia — żłobią się w pośrodku dwa niewielkie, wypukłością grzędy od siebie oddzielone kotły skalne, w których spadku znaczą się na dolnych urwiskach płytowe, progami przewieszające się ścieki wód.

Wejście w skały w miejscu, gdzie usypiska najwyżej pod ścianę podchodzą. Stąd piarżysto-trawiastym zachodem ku górze, skośnie w prawo, na szeroką, niemal poziomą półkę trawiastą, którą w lewo do tworzącego rodzaj kazalnicy występu. Tutaj w górę, nieco w prawo, 8-metrową, kruchą rynną, wyprowadzającą w lewo na długą, ukosem w lewo podnoszącą się, dość eksponowaną półeczkę trawiastą. Nią kilkanaście metrów w lewo, poczem — gdzie półeczka zwęża się ku górze, skośnie w prawo, poprzez trudną, nader stromą ściankę i spadziste stopnie na szerszą, płytowo-trawiastą półkę, wywodzącą ponad dolne spady ściany do początku

prawego, z dwu wspomnianych na wstępie kotłów skalnych. Teraz w górę bez trudu lewą krawędzią kotła przez płyty i piargi, poczem — gdy kocioł pocznie zatracać się ku górze w stromych ścianach, które przerzyna wygładzona rynna — skośnie w lewo na wypukłość grzędy, rozdzielającej oba kotły. Nią wprost w górę stromemi, trawkami przetykanemi stopniami, a następnie — gdzie grzęda rozpłaszcza się w ścianach — poziomy trawers gzymsami w prawo i nieco ku górze, gładkiem zacięciem, na odpęknięty od ściany blok. Tu — w odległości ok. 6 metrów na lewo od przewieszającej, przedłużenie się kotła stanowiącej rynny — wprost do góry przez niewysoki lecz skąpy w chwyty stopień, oraz wygładzone strome płyty (zygzakiem w lewo i w prawo) na piarżyste piąterko we wspomnianej rynnie. Stąd trawiastemi półeczkami zrazu stromo w lewo, poczem szeregiem gzymsików skalnych poziomo w prawo nad uskok rynny, z którego w górę przez dość trudną płytę na łatwy teren. Kierując się teraz nieco w lewo, w zygzak poprzez stopnie i rynny, docieramy do niespodzianie odsłaniającej się, szerokiej, płytami wyłożonej załupy, która biegnąc pod prostopadłemi ścianami ukosem w lewo wyprowadza na przełączkę w grani między północną a środkową turnią szczytową. Stąd częściowo po zach. stronie grani, częściowo jej krawędzią przez środkową turnię na główny wierzchołek Niżnich Rysów (od wejścia w skały 6 godzin).

W dolnej części ściany znaczna ekspozycja i wysoce niemiłe, urwiste trawki, w górze skała pewniejsza. W całości przejście stanowi poważną, wyczerpującą, technicznie dość trudną wyprawę.

Dr. Zygmunt Klemensiewicz. Bolesław Macudziński. Dr. Mieczysław Świerz.

Żabi Szczyt Niżni. I. przejście zachodniej ściany. Podpisani dnia 13 września 1919 r.

Żabi Szczyt Niżni wznosi się ponad kotliną Morskiego Oka wyniosłemi, upłaziastemi i kosówką zarosłemi stokami i dopiero w najwyższych swych partjach spiętrza się w niezwykle stromą i litą, ok. 150 m. wysokości liczącą ścianę szczytową. Ścianę tę ogranicza: z lewej (pn.) strony żleb, zbiegający ku M. Oku z przełączki między Żabim Szczytem Niżnim a punktem 2035 m., od prawej (płd.) krawędzi — grzebień poszarpanych turni bocznej, w kierunku Czarnego Stawu nad M. Okiem ciągnącej się grani. W linji spadku wierzchołka załamuje się prawa strona ściany w wypukłość niewyraźnego żebra, wrzynającego się w upłazy podstawy rodzajem grzędy.

Od Morskiego Oka zrazu płytkim żlebkiem w linji spadku wyniosłości, oznaczonej kotą 2035 m., a następnie, powyżej zarastających zbocza pól kosodrzewiny, skośnie w prawo do żlebu zbiegającego ze wspomnianej przełączki między p. 2035 m., a wierzchołkiem Żabiego Niżniego. Przekroczywszy żleb, kierujemy się skośnie w prawo ku szerokiemu, trawiastemu wgłębieniu, wrzynającemu się we wspomnianą na wstępie grzędę ściany. Upłazkami wgłębienia ku górze, a następnie stopniami, rynnami

i trawkami wśród stromych płyt, które przybierając na nachyleniu, wpychają nas w końcu skośnie w prawo na szeroką platformę u stóp bardzo wybitnego, głębokiego zacięcia, które przerzyna ścianę w kierunku wierzchołka. Zacięciem w górę niemal pionowo i dość trudno przez dwie przewieszki (częściowo zapieraniem) ok. 20 m. na dobry stopień trawiasty. Z niego wygładzonemi płytowemi stopniami zacięcia do jego mniej stromej i łatwiejszej części, którą przechodzimy aż do miejsca, gdzie zacięcie staje się gładkie i pionowe. Tu skośnie w lewo poprzez odpychające stopnie kilkumetrowej ścianki na ostrze żebra, ograniczającego od lewej będące w mowie zacięcie. Krawędzią żebra przez luźne, potrzaskane głazy kilka metrów niezwykle stromo i w dużej ekspozycji ku górze do otwierającej się w lewo, na ścianę ponad jej potężne zerwy wybiegającej, półki trawiastej. Nią kilkanaście metrów w lewo, poczem ku górze — skośnie w prawo — stopniami oraz krótką rynną z powrotem na krawędź żebra ponad urwiskiem zacięcia. Stąd łatwą rynną, stanowiącą przedłużenie zacięcia do wyższego, w lewo odchodzącego zachodu trawiastego, którym dążąc ok. 30 m. omijamy wiszące nad nami trudne ścianki, poczem skośnie w prawo przez bloki na grań w odległości kilkunastu metrów na północ od szczytu.

Najciekawszy, technicznie dość trudny sposób wyjścia na Żabi Szczyt Niżni. Czasów wycieczki: M. Oko 16^{15} g., wejście w ścianę 17^{30} g., szczyt 18^{45}—19 g., M. Oko 19^{45} g. nie można uważać za normalne.

Stanisław Piasecki. Dr. Mieczysław Świerz.

SPRAWY SEKCJI.

Protokół z XII. zwyczajnego Ogólnego Zebrania członków Sekcji Turystycznej Tow. Tatrz., odbytego w Zakopanem d. 27 sierpnia 1919 r., w sali Dworca Tatrzańskiego.

Obecnych członków 11.

Z powodu nieobecności członków prezydjum, kierownictwo obrad oddano p. dr. W. Goetlowi, który poświęcił serdeczne słowa wspomnienia zmarłym w okresie wielkiej wojny członkom Sekcji, poczem przedstawił w imieniu Zarządu krótkie sprawozdanie z działalności klubu, niefungującego od r. 1914 wskutek wojennych warunków i przystępującego dopiero teraz do wznowienia swych czynności, tem konieczniejszych, że wobec odzyskania niepodległości i taternictwo polskie czekają nowe, szerokie zadania. O zadaniach tych mówi obszerniej p. A. Znamięcki, stwierdzając, że Sekcja winna ująć w swe kierownictwo organizację wzrastającego coraz bardziej, masowego pędu społeczeństwa ku Tatrom, a również wziąć w opiekę schroniska i ścieżki tatrzańskie, wejść w porozumienie z pokrewnemi towarzystwami zagranicznemi i dążyć do wytworzenia swojskiego przemysłu przyborów turystycznych. Po obszernej dyskusji, w której zabierali głos pp. dr. Klemensiewicz, Znamięcki. dr. Goetel, wicemarszałek Osiecki i dr. Świerz, uchwalono — jako dyrektywy dla nowego Zarządu — następujące wnioski:

1. Wniosek p. A. Znamięckiego: »Zarząd Sekcji przygotuje przed końcem b. r. plan urządzenia Tatr z punktu widzenia turystycznego i po porozumieniu się z Wydziałem T. T. oraz interesowanemi Sekcjami przedłoży go rządowi Rzeczypospolitej«.

2. Wniosek dra Z. Klemensiewicza: »Ogólne Zebranie Sekcji Turystycznej wita z radością projekt budowy schroniska na

Hali Gąsienicowej staraniem Warszawskiego Oddziału T. T. i wyraża opinję, że schronisko to winno być z kamienia i dostosowane do wymagań tak letniej, jak i zimowej turystyki, i wzywa Zarząd Sekcji do jaknajgorliwszej współpracy przy jego budowie«.

3. Wniosek p. A. Znamięckiego: »Ogólne Zebranie Sekcji Turystycznej poleca Zarządowi jaknajenergiczniejszą akcję w celu zbudowania małego, wysokogórskiego schroniska w miejscu, odpowiadającem charakterowi taternickiej działalności śp. Karłowicza, którego imieniem ma być nazwane. W tym celu poleca rychłe uporządkowanie dotychczasowych funduszów i zebranie dalszych.

4. Wniosek dra W. Goetla: »Ogólne Zebranie Sekcji Turystycznej, pragnąc utrwalić pamięć swego Przewodniczącego, znakomitego taternika i alpinisty, prof. M. Smoluchowskiego, poleca Zarządowi obmyślenie sposobu godnego uczczenia pamięci Zmarłego«.

5. Wniosek dra Z. Klemensiewicza: »Ogólne Zebranie Sekcji Turystycznej wzywa Zarząd, aby zapewnił Sekcji Turystycznej T. T. i taternictwu polskiemu należytą reprezentację na zjeździe Towarzystw turystycznych polskich oraz na kongresie towarzystw alpejskich państw sprzymierzonych, mającym się odbyć w Monaco w maju 1920 r.

6. Uchwalono wznowić wydawnictwo »Taternika«, którego redakcję powierzono dr. M. Świerzowi.

Celem uporządkowania finansów Sekcji oraz uzyskania funduszu na wydawnictwo »Taternika« uchwalono na wniosek p. A. Znamięckiego: wkładki członków Sekcji pobrać za lata wojny do r. 1918 w zwykłej wysokości, wkładkę na r. 1919 podwyższyć na 36 K (wzgl. 25 Mkp), przyczem Zarząd Sekcji może przyjąć jako jednorazową, dożywotnią wkładkę kwotę 600 Kor.

Przystąpiono do wyboru nowego Zarządu, w skład którego weszli pp.: dr Walery Goetel jako przewodniczący; dr. Mieczysław Świerz jako zastępca przewodniczącego; Stanisław Porębski jako sekretarz; Teofil Janikowski, Bohdan Krzemiński, Rafał Malczewski, Stanisław Osiecki, dr. Kazimierz Piotrowski i Aleksander Znamięcki jako członkowie Zarządu; dr. Zygmunt Klemensiewicz jako delegat Sekcji we Lwowie i dr. Tadeusz Smoluchowski jako delegat Sekcji w Poznaniu.

W końcu uchwalono jednogłośnie wyrazić ustępującemu Przewodniczącemu, p. Wacławowi Czerwińskiemu jaknajserdeczniejsze podziękowanie za długoletnie, energiczne kierownictwo Sekcji Turystycznej.

Stanisław Porębski — Sekretarz. *Dr. Walery Goetel* — Przewodniczący.

Nowi członkowie. Zarząd Sekcji Turystycznej przyjął w r. 1919 następujących nowych członków: pp. Stanisława Fächera, Eugenjusza Kalicińskiego, Bohdana Krzemińskiego, Bolesława Macudzińskiego, Józefa Oppenheima, Stanisława Piaseckiego, Jana Gw. Pawlikowskiego jun., Edwarda Urbana, Jana Tabeau, Kazimierza Wąsowicza, Marję Zdziechowską, Elę Ziętkiewiczową i Władysława Ziętkiewicza.

Zarząd Sekcji uprasza członków o uregulowanie zaległych wkładek, które wynoszą: od r. 1914—1918 po 5 Mk, za r. 1919 i 1920 po 25 Mk i za 1921 rok 600 Mk.

Zarząd Sekcji poleca wydawnictwa Sekcji Turystycznej: *a)* roczniki »Taternika« od 1908—1913, oraz nr. 1 i 2 »Taternika« za r. 1914 (tylko dla członków Tow. Tatrz.); *b)* »Mieczysław Karłowicz w Tatrach«, wytwornie wydany zbiór pism taternickich z 18 autotypjami i 6 fototypjami; *c)* dra Zygmunta Klemensiewicza: »Zasady taternictwa«. Do nabycia w biurze Tow. Tatrz. w Zakopanem i w księgarniach.

NOTATKI.

Od Redakcji. W radosnej chwili odrodzenia Rzeczypospolitej, lecz w warunkach dla zamierzeń wydawniczych nad wyraz trudnych, po przerwie lat siedmiu, wskrzesza Sekcja Turystyczna swój organ, polskiej idei taternickiej służący. Obecnie opuszcza prasę, za lata wojenne, niniejszy rocznik, poczem pismo pojawiać się będzie już w perjodycznych odstępach. Kreślić hasła naszego programu uważamy za zbędne: przeszło 800 stronic poprzednich roczników »Taternika«, bezcennym materjałem zapełnionych, objaśnia cele i dążenia pisma dostatecznie. Szczupłe ramy tego pierwszego powojennego rocznika nie pozwoliły na uwzględnienie w nim wszystkich wiadomości tatrzańskich, które za ubiegły czas w naszem piśmie winny znaleźć omówienie. Cały szereg spraw jak: historję walki o kresy tatrzańskie, kronikę wypadków od 1914 roku, nekrologi śp. S. Witkiewicza, prof. W. Kulczyńskiego, dra W. Pawlicy, profesora M. Kowalewskiego i innych zgasłych w czasie wojny pracowników tatrzańskich, rolę i działalności Kompanji Wysokogórskiej, przegląd literatury tatrzańskiej i t. p., odłożyć jesteśmy zmuszeni do następnych numerów. Że ich współpracownikami staną się znacznie liczniejsi, niż dotąd, przyjacîele pisma naszego — nie wątpimy.

Z Tatr. Wybuch wojny światowej i związane z nią powołanie większości taterników pod broń, spowodowały — rzecz jasna — niemal zupełny zanik ruchu taternickiego w całym tym wojennym okresie. Poważniejsze wyprawy — z których wymienić należy przejście grani Wideł przez śp. S. Bronikowskiego i R. Malczewskiego w r. 1916, oraz powtórzenie południowej ściany Zamarłej T`rni przez H. Bednarskiego i Elę Micha-ką w r. 1917 — należały naogół do nad-/czaj rzadkich. Dopiero z chwilą rozpadu Austro-Węgier i zorganizowania — przy Brygadzie Strzelców Podhalańskich — Kompanji Wysokogórskiej, która skupiła w sobie cały szereg taterników — ruch ożywił się znacznie, ograniczył się jednak wskutek sytuacji politycznej tylko do obszaru Tatr Polskich. Z większych wycieczek — prócz wymienionych na innem miejscu nowych dróg — na wzmiankę zasługują: VI przejście południowej ściany Zamarłej Turni (M. Świerz, K. Wąsowicz, W. Ziętkiewicz), całkowite przejście północnej ściany Mięguszowieckiego Szczytu (A. Schiele i M. Świerz), przejście północnej ściany Cubryny (W. Ziętkiewicz z tow.) i t. p. Powtórzono również (kilkakrotnie) północną ścianę Mnicha, północną grań Żabiego Mnicha, ścianę i grań Żabiego Konia, oraz grań Mięguszowieckich Szczytów.

Taternicki ruch zimowy, w latach wojny z natury rzeczy bardzo nikły, w sezonie 1920/21 był bardzo ożywiony. Liczne wycieczki kierowały się już to na Krzyżne, Wołoszyn, Granaty, Kozi Wierch, Zawrat i Gładką Przełęcz, już to na cały szereg szczytów w Tatrach Zachodnich. Jak w letniej turystyce tak i tu przodowali instruktorowie Szkoły Wysokogórskiej.

Ankieta w sprawie rozwoju Zakopanego odbyła się w Zakopanem w dniach 21—24 listopada 1919 roku z inicjatywy Ministerstwa Robót Publicznych i Ministerstwa Zdrowia Publicznego. Przy nader licznym współudziale delegatów rządu, władz miejscowych, instytucyj publicznych oraz towarzystw turystycznych omówiono wszystkie najważniejsze potrzeby i dezyderaty uzdrowiska. O »ochronie krajobrazu tatrzańskiego« mówił prof. J. Gw. Pawlikowski, referat o postulatach letniej i zimowej turystyki tatrzańskiej wygłosił — z ramienia Sekcji Turystycznej T. T. — dr. Mieczysław Świerz.

Protokół obrad ankiety ukazał się w osobnej, 144 stronic druku liczącej broszurze, wydanej staraniem Ministerstwa Robót Publicznych w Warszawie.

I. Zjazd delegatów towarzystw turystycznych, krajoznawczych i narciarskich odbył się z inicjatywy Ministerjum Robót Publicznych w Krakowie, w dniach 11 i 12 października 1919 r. Głównem zadaniem zjazdu było założenie Polskiego Związku Towarzystw Turystycznych celem skoordynowania prac nad podniesieniem tu-

rystyki w Polsce i reprezentacji interesów tejże tak wobec władz jak i społeczeństwa. Po wyczerpującej dyskusji uchwalono powołać do życia wspomniany związek i w celu opracowania statutu tegoż wybrano komitet wykonawczy zjazdu z siedzibą w Krakowie. Sekcję Turystyczną P. T. T. reprezentował przewodniczący tejże, dr. Walery Goetel. Podczas zjazdu delegaci towarzystw narciarskich uchwalili utworzyć Polski Związek Narciarski, którego ostateczne zawiązanie nastąpiło w lutym 1920 r.

Skocznia narciarska w Tatrach. Staraniem Sekcji Narciarskiej P. T. T., a dzięki współpracy Kompanji Wysokogórskiej doczekalo się narciarstwo pierwszej w Polsce, stałej skoczni narciarskiej, zbudowanej, pod kierunkiem inż. A. i K. Schielów, na zboczu Doliny Jaworzynki. Skocznia owa przyczyni się niewątpliwie do wydatnego podniesienia się tej zbyt mało dotąd kultywowanej gałęzi techniki narciarskiej.

Granitowe schronisko na Hali Gąsienicowej. W maju 1921 r. przystąpił Warszawski Oddział P. T. T. do budowy wielkiego, granitowego schroniska na Hali Gąsienicowej — według projektu architekty Z. Kalinowskiego, a pod kierunkiem inż. A. Schielego. Schronisko, obliczone na 100 łóżek, wznosić się będzie na równince poniżej obecnego schroniska T. T. Niezwykle uroczyście obchodzone poświęcenie kamienia węgielnego pod tę monumentalną budowlę odbyło się dnia 24 lipca b. r. Imieniem Sekcji Turystycznej przemówił dr. M. Świerz.

Organizacja finansowa budowy schroniska opiera się na udziałach w wysokości 1000, 25.000 i 50.000 Mk. Udziałowcy korzystać będą ze znacznych ulg i zniżek w nowym schronisku.

Doroczne Walne Zgromadzenie członków Polsk. Tow. Tatrz. odbyło się dnia 18 czerwca 1921 r. w Krakowie przy niezwykle licznym udziale członków i delegatów Oddziałów. Głównym przedmiotem obrad była reorganizacja Towarzystwa w duchu decentralizacji i oparcia jego ustroju na szeregu samodzielnych i równouprawnionych Oddziałów. W tym duchu uchwalono odpowiednią rezolucję i wybrano komisję, która ma się zająć opracowaniem nowego statutu celem przedłożenia go w listopadzie b. r. Nadzwyczajnemu Walnemu Zgromadzeniu T. T.

Nowe Oddziały P. T. T. powstały we Lwowie, Łodzi i Poznaniu. Przystąpienie do T. T. w charakterze Oddziału zgłosiło również Towarzystwo »Beskid« w Cieszynie.

Towarzystwa turystyczne po południowej stronie Tatr. Odrywający od Węgier całą Słowaczyznę przewrót roku 1918 i związana z tem zmiana warunków politycznych po południowej stronie Tatr odbiły się również na ustroju i działalnośct istniejących tamże towarzystw turystycznych. »Węgierskie Towarzystwo Karpackie«, którego większość Sekcyj znalazła się na terenie Czechosłowacji, zmuszone było nazwać się Towarzystwem Karpackiem i doznaje ze strony władz czeskich bezprzestannych szykan. Po zgonie długoletniego prezesa A. hr. Teleki'ego, kierownictwo towarzystwa objął dr. Michał Guhr, lekarz w Westerowie. Sekcja Kiezmarska »Węgierskiego Towarzystwa Turystycznego« przekształciła się w r. 1919 w odrębne »Towarzystwo Tatrzańskie w Kiezmarku« (Tatraverein Kesmark). Z towarzystw czesko-słowackich rozwija obecnie żywą działalność »Tatransky Spolok Turisticky«.

Liczba członków Austrjacko-Niem. Tow. Alpejskiego (D. Ö. A. V.) wynosiła w r. 1920 przeszło 107.000; Sekcyj liczyło towarzystwo 385.

Tunel przez Montblanc. Celem połączenia Dol. Aosty z Chamounix podjęli Włosi myśl przebicia masywu Montblanc tunelem, mającym wynosić 14.300 m. długości. Koszta budowy tunelu obliczono na 120 miljonów franków.

Wiadomości osobiste. Dnia 17 sierpnia b. r. w Warszawie ks. Prałat Aleksander Fajecki pobłogosławił związek małżeński pn. Zofji Daniszewskiej z p. Aleksandrem Znamięckim, członkiem Zarządu Sekcji Turystycznej T. T.

SPIS RZECZY.

Artykuły i rozprawy.

Nowe drogi.

Sprawy Sekcji.

Notatki.

